

- M. Derecki o A. Aleksym i Z. Modrzewskiej — str. 4-5
- A. Bocian o ucieczce w orient — str. 8.
- M. Rey o legendzie Bruce'a Lee — str. 12

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Kamera



Wzemplarz ożowiaz
BIBLIOTEK
UMCS
LUBLIN

NR 23 (790)

6 - 19 listopada 1983

CENA 10 ZŁ

Ile porozumienia, ile walki?

Rozmowa z doc. dr. hab. med. Michałem Bokińcem, sekretarzem KW PZPR w Lublinie



Fot. J. Mirosław

— Niedawno odbyło się XIII Plenum Komitetu Centralnego poświęcone ideologii partii i płynącym stąd zadaniom. Transmisja treści referatów, samej dyskusji i uchwały była dobra, nie ma zatem potrzeby powtarzania rzeczy już raz wypowiedzianych. Mnie interesuje osobisty stosunek sekretarza do tych spraw, a i nie tylko mnie, bo w końcu jest to zakres kompetencji i działania sekretarza w ramach politycznego kierownictwa Lubelszczyzny.

— To chyba jasne, że każdy, kto czuje się związany z jakąś sprawą, ma do niej osobisty stosunek; intelektualny, emocjonalny.

— Plenum ideologiczne oczekiwane było od dawna i z dużym zainteresowaniem...

— Dodałbym również, że w różnych kręgach.

— Jak i w jakich kręgach?

— Przede wszystkim oczekiwali go członkowie partii. Po pierwsze dlatego, że poprzednie forum partyjne tej rangi odbyło się przed dwudziestu laty, co dość dobrze ilustruje znaczenie, jakie przywiązywały poprzednie ekipy kierownicze PZPR do ideologii. Po drugie, partii potrzebne jest dziś potwierdzenie racji ideologicznych, jakimi kierowała się w okresie ostatnich dwóch lat i obecnie. Z zainteresowaniem śledziła obrady opinia społeczna, szukając w nich elementów, które potwierdzałyby zgodność ideologii i praktyki, słów i czynów partii lub takich, które tej zgodności by przeczyły. Nie należy ukrywać, że na plenum czekali też przeciwnicy polityczni krajowi i zagraniczni. Spodziewali się, że dostarczą ono argumentów do tezy, iż „wydarzenia lat 1980—1983 w Polsce są najlepszym przykładem kryzysu ideologii socjalistycznej”. W tym ostatnim przypadku o takich spodziewaniach

świadczą reakcje zachodnich radiostacji: Wolnej Europy, Głosu Ameryki, BBC i innych...

— Słucha sekretarz Wolnej Europy?

— Słucham. Dlaczego miałbym nie słuchać? Trzeba to robić, jeżeli się chce prowadzić walkę ideologiczną, zwalczać lansowane tam opinie i poglądy. Przez wiele lat udawaliśmy, że monachijska radiostacja nie istnieje i przyniosło to szkody trudne do przecenienia. Znacznie racjonalniejsze i bardziej skuteczne jest przeciwstawianie się na gruncie faktów, konkretnych, co od pewnego czasu nasza propaganda czyni i o czym mówił na plenum generał Jaruzelski.

— Padły głosy, że organizowanie plenum w obecnym czasie jest operacją ryzykowną, że względu na brak dostatecznych argumentów praktycznie potwierdzających ideologię...

— Owszem, były takie głosy... Mam jednak propozycję, abyśmy sobie ustalili, co nazywamy ideologią, a następnie, czy są argumenty wystarczające, aby powiedzieć, iż ideologia się nie potwierdza, czy nie potwierdziła. Dodam jeszcze, że poglądy, o których mowa, wypowiedzane były z pozycji asekurancji. Na zasadzie: „Poczekajmy, aż będzie dobrze i dopiero zróbmy plenum potwierdzające słuszność naszych koncepcji”... To jest żadna sztuka przekonywać do socjalizmu, jak są pełne półki i portfele oraz paszporty na Zachód w kieszeniach. Wtedy nikt się nie zapyta, czy to jest na kredyt, czy nie, tylko się cieszy. Takich ideologicznych sukcesów przy pomocy zachodnich banków już wystarczy.

— No dobrze. Co to jest ideologia?

— Jest to koncepcja świata, życia i człowieka właściwa danej zbiorowości

Dokończenie na str. 2—3

Udostępniając Czytelnikom — w przekładzie RYSZARDA DUNINA — utwory poetyckie współczesnych poetów rosyjskich średniego i młodszego pokolenia, mamy nadzieję, iż przybliżą one myśli i odczucia radzieckich twórców wobec współczesności. Czasem bowiem bywa tak, że nie w pełni zna się najbliższych sąsiadów.

Leonid Martynow

Ja przebywałem w łapach śmierci,
lecz ocalałem na przekór
i czuję jak ostry jej zapach
ze wszystkich moich porów uchodzi.
Nie zapach to łuski orzecha,

którego rozgryźć się nie dało,
i nie zapach śmiechu —
to pociecha
podobna do zapachu łez.

Z młodego sinookiego
rasowego żartownisia
przeobrazil się on
w sędziwego staruszka.
Niebieskie oczy zeszczerzały,
namnożyło się orderów,
i brzydą się chmurzyli
i uśmiechała się ona.

(Z tomu Zero gwiazd, Moskwa 1979)

Dalsze wiersze na str. 6

Ile porozumienia ile walki?

Dokończenie ze str. 1

ludzkiej, powstała jako wynik doświadczeń historycznych, a służąca do zabezpieczenia jej interesów. Do utrwalenia, przekształcenia lub zniesienia istniejących stosunków społecznych.

— A stosunek ideologii do praktyki?

— To jest bardzo ważne pytanie; zwłaszcza dziś. Oczywiście, jeżeli ma się określone poglądy, które się artykułuje i które mają kierować naszym działaniem, to trzeba się liczyć z oceną tej realizacji. Najlepiej posłużyć się przykładem. Z zawodu jestem lekarzem i wykonując tę profesję kieruję się określonymi poglądami medycznymi, wiedzą, doświadczeniem. Jeżeli okaże się, że nagle pacjenci zaczynają mi umierać, to z pewnością trzeba się zastanowić. Bo albo ja jestem nieukiem i partaczem, albo to, czym kieruję, jest do niczego. Na pewno łatwiej jest przelać wersję, że to medycyna zawiniła. A czym ona jest, jak nie swoistą ideologią? No i mamy odpowiedź: winna medycyna, lekarz — w porządku. Tylko, że są jeszcze ci

nieszczęśliwi pacjenci... I co by pan zrobił?

— Zobaczyłbym, czy innym też pacjentom umierają. A potem bym pomyślał, gdzie jest przyczyna.

— No i jesteśmy w domu. Jeżeli lata siedemdziesiąte przyniosły nam kryzys gospodarczy i społeczno-polityczny, to można powiedzieć — i radośnie obwieszczać o tym Zachód — że socjalizm jest w ślepych zaułkach. Można jednak trochę się rozejrzeć i spytać; no, a Bulgaria? Mówię o Bulgarii, bo ostatnio dość dokładnie interesowałem się funkcjonowaniem socjalizmu w tym kraju. Można spytać o inne kraje socjalistyczne... I wtedy już mamy inne wnioski. Czynnikiem równości między ideologią a praktyką socjalizmu w Polsce, nasi przeciwnicy popełniają nie tylko nadużycie polityczne (czemu się nie dziwię, bo to przeciwnicy), ale również — metodologiczne, naukowe. I ja bym w propagandzie ten moment właśnie akcentował, a nie to, że Reagan był aktorem i grywał w westernach.

— Jesteśmy jednak atakowani także z innej strony. Pojawiają się głosy, że

w Polsce czynione są odstępstwa od ideologii i praktyki socjalizmu.

— To ja znów zapytam: o jaki socjalizm chodzi?

— A to są różne? Używając porównań sekretarza: czy są różne medycyny?

— Rozumiem sens. Mógłbym odpowiedzieć, że jest, na przykład medycyna chińska i inkaska etc. Ale nie o to chyba chodzi. Użyję przykładu chirurgii. Czy pan wie, że wszystkie możliwe operacje (z przyszywaniem cudzej głowy włącznie, nie mówiąc o „banalnym” przeszczepie serca) przeprowadzano już w XVIII wieku? Tylko, że ich skuteczność praktyczna była minimalna. A dlaczego była taka kiepska? Wcale nie z powodów technicznych, wiedzy o tym, jak się kroi i gdzie co przyszywa (czyli: ideologicznych), a z tej przyczyny, że nie potrafiono pokonywać okoliczności towarzyszących: bariery immunologicznej, bakterii itd. Niech pan zauważy szok skuteczności chirurgii po wynalezieniu antybiotyków. Medycyna (czy wężej: chirurgia) jest dziedziną żywą i ewoluującą, stale doskonaloną, weryfikowaną. Ale idzie to w kierunku rozwijania wiedzy i praktyki w ramach kanonów, a nie przyszywania lewej ręki w miejsce prawej nogi. No i teraz konkluzja: nie jest żadną sprzecznością ideologiczną badanie, na ile pewne założenia sprawdzają się w kontekście nowych sytuacji, wymagań, oczekiwań i trudności. Na tym polega socjalizm realny.

— Czy sekretarz trochę nie przesadza z tym relatywizmem: coś wyjdzie

— dobrze, a jak nie wyjdzie, to spróbujemy inaczej? A społeczeństwo, a ludzie? To nie jest laboratorium, to nie są białe myszki.

— To nie jest przesada, jeżeli się nie przyszywa ręki zamiast nogi, że wróć do poprzedniego pytania. Poza tym nie stać nas już na kolejne kryzysy, na kolejne eksperymenty.

— To z innej pozycji. Czy istnienie prywatnej własności środków produkcji w Polsce jest zgodne z socjalizmem i na ile?

— Rozgraniczmy: chodzi o rolnictwo i rzemieślniczy sektor prywatny (pomijam firmy polonijne, bo to jest margines). W pierwszym przypadku, odwróć pytanie: czy jest możliwe wyżywienie samodzielnego naszego narodu bez stworzenia chłopom gwarancji stabilizacji życiowej i materialnej? Co by pan proponował? Kolektywizację? Zgoda, że prywatne rolnictwo klóci się z kanonem ideologicznym, ale jest też inny kanonem to, że naród rządony w sposób socjalistyczny musi mieć zapewnioną egzystencję i bezpieczeństwo oraz i to także, że jest to społeczeństwo nieantagonistyczne. I trzeba wybierać. I to się robi: stąd m.in. zapis konstytucyjny dotyczący rodzinnych gospodarstw chłopskich. Ponadto dwie uwagi. Gospodarstwo rodzinne nie może stale korzystać z siły najemnej (co jest formą wyzysku kapitalistycznego). Proszę też zauważyć, jaką siecią powiązań instytucjonalnych łączy się struktura gospodarki żywnościowej w Polsce, jakie są zależności i konieczności stawiane prywatnemu producentowi żywności.

„Kamena” i jej twórcy

WCHELMIE — mieście, w którym w 1933 r. powstała „Kamena” — odbyła się w dniach 21–22 października br. sesja popularnonaukowa pt. „Kamena” i jej twórcy.

Na sesję przybył sekretarz KC PZPR Waldemar Świrgoń, wojewoda chełmski Alojzy Zieliński, sekretarz KW PZPR Barbara Baluk, przewodniczący WK SD Zbigniew Markiewicz, przedstawiciele inteligencji, młodzież szkolna.

Słowo wstępne wygłosił wicewojewoda chełmski Benedykt Struzik. Postanowieniem Prezydium WRN w Chełmie „Kamena” przyznano odznakę „Za zasługi dla województwa chełmskiego”. Odznakę wręczył na ręce redaktora naczelnego pisma wojewoda Alojzy Zieliński. Indywidualne odznaki otrzymali ponadto M. A. Jaworski i I. J. Kamiński.

Na sesji wygłoszono pięć referatów. Józef Mądry — kierownik Zakładu Dziennikarstwa Uniwersytetu Śląskiego mówił o roli regionalnego czasopisma społeczno-kulturalnego na przykładzie „Kamena” (skrót referatu drukujemy obok pod tytułem odredakcyjnym), Wiktor Bazylewski — o wkładzie redaktorów „Kamena” w rozwój pisma, M. A. Jaworski — o dniu dzisiejszym „Kamena” i jej perspektywach na przyszłość jako tygodnika, Kazimierz Prus z WSP w Rzeszowie — o Kazimierzu Andrzeju Jaworskim jako tłumaczu literatury rosyjskiej. Na sesji odczytano również referat Anny Lyczewskiej o twórczości poetyckiej K. A. Jaworskiego.

W Muzeum Chełmskim otwarto wystawę prac malarskich Zenona Waśniewskiego.

M. A. Jaworski spotkał się z Czytelnikami „Kamena” w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki.



Wojewoda chełmski, Alojzy Zieliński wręcza red. nac. „Kamena” M. A. Jaworskiemu odznakę dla pisma — „Za zasługi dla województwa chełmskiego”. Fot. W. Stępień

Pro domo sua

Józef Mądry

„**K**AMENA” jest jednym z nielicznych tytułów prasowych, które przetrwały kataklizm II wojny światowej. Jest również periodykiem który potrafił dość skutecznie oprzeć się różnorodnym przeszkodom, jakie stawały na drodze jego edytorskiej ciągłości w okresie gdy biurokratyczny centralizm święcił największe triumfy. Jest wreszcie „Kamena” czasopismem które powstało w okresie i warunkach — z jednej strony — sprzyjających inicjatywom wydawniczym prasy literackiej i społeczno-kulturalnej z drugiej jednak — nie dających im żadnej nawet względnie trwałej podstawy materialnej. W ostatecznych konsekwencjach powodowało to co powodować musiało: efemeryczność każdej z takich inicjatyw, każdego nowego tytułu nawet, gdy powstał on i zaczął funkcjonować w ośrodku ludniejszym i ekonomicznie zasobniejszym niż Chełm¹⁾.

Pism i piśmierek typologicznie identycznych bądź spowinowaconych z „Kamena” powstało w tamtym okresie kilkadziesiąt w różnych regionalnych ośrodkach kraju. Większość z nich jednak przeważnie po kilku czy kilkunastu numerach zniknęła z rynku bezpowrotnie, nie zdolawszy mocniej zaznaczyć swojej obecności na powierzchni życia kulturalnego Polski międzywojennej. Założyciele „Kamena” byli tego w pełni świadomi. A chwila do założenia miesięcznika poświęconego poezji — napisze po latach w swoim wspomnieniu Kazimierz Andrzej Jaworski — była bardzo odpowiednia: umił „Skamander”, skończyła się „Kwadryga” przestała ukazywać się „Linia”, podobnie łódzkie „Prądy”, „Reflektor” nie wytrzymał próby czasu, a ostatnio znów „Barykady”. Wilno zdobyło się jedynie na nieregularnie ukazujące się wydawnictwo o formacie gazetowym. Luka wyraźnie prosiła się o wypełnienie²⁾.

Role, jakie te pisma w swoim czasie odegrały w życiu kulturalnym, zwłaszcza zaś w regionalnych — wtedy mówiono: prowincjonalnych — ośrodkach kraju miejsce, jakie zajmowały w systemie prasy i kultury oraz funkcje, jakie spełniały i spełniły, nie są do dziś należycie zbadane. „Kamena” jest, w każdym razie, ich jedyną żywą pozostałością i jedynym materialnym i duchowym śladem.

Nielatwo jest odpowiedzieć na pytanie, gdzie i w czym, w jakiej materii poszukiwać należy źródeł trwałości i żywotności tego periodyku? Trzeba sobie jednak to pytanie postawić i trzeba szukać nań odpowiedzi. Do poszukiwań takich prowokują zarówno dzieje, jak i zdolność do ustawicznego odradzania się, nie tylko periodyku-jubilata, lecz także pozostałych powojennych czasopism społeczno-kulturalnych, niezależnie od tego czy któreś z nich swym przestrzennym zasięgiem obejmuje cały kraj czy też tylko jakąś jego część. Słowem — wszystkich czasopism społeczno-kulturalnych w PRL.

W sprawie tej funkcjonuje kilka dość znacznie różniących się między sobą opinii³⁾, przeważnie o niewątpliwie obiegowym zabarwieniu.

Pierwsza z nich sprowadza się do stwierdzenia że każde z tych czasopism jest przede wszystkim skutkiem konsekwentnego przestrzegania przez ośrodki decyzyjne założeń i kierunków polityki kulturalnej państwa.

Znana jest również opinia, że społeczny obieg tych czasopism oraz ich obecność w życiu kulturalnym mieszkańców poszczególnych regionów, a w sumie całego kraju jest rezultatem energii, aktywności, pasji i pomyślności grup twórczych zwłaszcza literatów i dziennikarzy działających w danym ośrodku. Dość często mamy również do czynienia z poglądem, że egzystencja i społeczne funkcjonowanie każdego z periodyków tej grupy bierze swój początek w rozległym procesie awansu kulturalnego ośrodków regionalnych który w sposób automatyczny pociągał za sobą zapotrzebowanie na pisma społeczno-kulturalne.

W każdej z tych opinii znajdziemy oczywiście jakieś ziarno prawdy. Żadna jednak nie może w pełni zadowolić. Podstawową wadą każdej z nich jest bowiem przede wszystkim arbitralność. Milczeniem nie można również pominąć faktu, że w żadnej z nich podmiotowość społeczności dla której są przeznaczone owe periodyki i której mają służyć nie została zaakcentowana w mierze odpowiadającej realnej rzeczywistości odbioru czytelniczego tych czasopism, a wiadomo przecież że o powodzeniu pisma decyduje przede wszystkim czytelnik.

ności, aby mógł rzeczywiście dobrze egzystować.

Teraz o sektorze prywatnym. Pełni on funkcję wspomagającą rynek, zwłaszcza w drobnej wytwórczości. To jest potrzebne. Inna sprawa, aby nie bogacił się ów sektor w drodze spekulacji, drenażu kieszeni i monopolizowania cen. Od tego jest fiskus, MO, NIK, PIH i postawa społeczeństwa. Będą także — co jest efektem XIII Plenum — robotnicze organa kontrolne.

— Dobrze. Spytam zatem o strategię i taktykę. Czy zapis w konstytucji jest jednym czy drugim, na przykład?

— Cel socjalizmu to upaństwowienie środków produkcji i tu się nie zmienia. Jednak jest coś takiego jak realizm, który nakazuje najpierw uzyskać samowystarczalność, a potem zastanawiać się nad rozwiązaniami instytucjonalnymi. Czy w rolnictwie musi to być od razu upaństwowienie? Nie, istnieje szereg form pośrednich. Mogą powstawać wielkotowarowe zespoły, spółdzielnie. Poza tym problem ten nie jest kwestią ani roku, ani pięciu, ani nawet dwudziestu. To pewien stan postulatyczny.

— Przejdźmy do spraw światopoglądowych. Jak się ma do ideologicznej koncepcji państwa socjalistycznego powszechny katolicyzm w Polsce?

— Znów problem kanonu. Oczywiście społeczeństwo socjalistyczne powinno mieć takiż socjalistyczny światopogląd w swojej przeważającej części, ale droga do tego prowadzi przez doświadczenie własne, praktykę. Kulaka można było rozkułaczać w latach 50-tych, ale nawet wtedy nie „rozkulaczano” z

poglądów na życie, świat, człowieka. Myślę, że w istocie chodzi tu o problem interesu klasowego i narodowego. Czasy, kiedy prymat pierwszego z wymienionych nad drugim był niepodważalnie oczywisty, mamy już za sobą. Nie można jednak obu ich przeciwstawić, bo jest to zasadniczo sprzeczne z naszym interesem jako niepodległego państwa. Oczywiście mamy świadomość, że większość społeczeństwa wyznaje katolicyzm, ale to nie jest żadna cezur. Polska jest jedna i jednakowe jest w niej miejsce dla wszystkich Polaków. Ponadto chciałbym zauważyć, iż przy całej różnorodności i różnicach światopoglądu idealistycznego (w tym katolicyzmu) i materialistycznego (socjalizmu) są elementy wspólne. Dotyczą one sfery moralności i etyki a także stosunku do pracy. Postulują te same wartości. I takie właśnie elementy godne są eksponowania w interesie dialogu, a nie konfrontacji. W interesie narodu, po prostu.

— Kolejną zasadą socjalizmu jest egalitaryzm. Czy jest ona realizowana?

— Brakuje tu niestety wiele. Celem socjalizmu jest osiągnięcie sprawiedliwości społecznej. Dotyczy to wszystkich dziedzin życia, przede wszystkim zaś dwóch: ekonomicznej i prawnej. W pierwszej rzecz często upraszczana była do hasła „każdemu według pracy”, co w zasadzie jest dość enigmatyczne, bo w pełni obiektywnego miernika pracy nie ma. Niech pan powie, czy ważniejsza jest praca górnika, czy lekarza? Dlatego stosowane jest tu kry-

terium ważności określonej pracy dla gospodarki (stąd np. zarobki górników). Nie zanosi się na wymyślenie czegoś lepszego i dlatego moim zdaniem zasada ta powinna oznaczać w praktyce równość szans. Czy tak jest? Niestety nie jest. Szansa zdobycia zawodu atrakcyjnego prestiżowo czy finansowo jest większa w przypadku młodzieży z dużych aglomeracji. Nie muszę mówić, że zadanie partii to niwelowanie tych różnic.

Drugim zagadnieniem jest równość wobec prawa i co do pełnionego stanowiska i funkcji społecznej. Wiele złego tu się zdarzyło i wiele musi ulec poprawie. General Jaruzelski mówił na plenum, że już się odradza wystawne bankiety za państwowe pieniądze, polowania w godzinach pracy, urządzanie gabinetów i... bezduśność wobec zwykłych, szarych ludzi. Bez zdecydowanego przeciwdziałania długo możemy dyskutować o przewagach ideologicznych w tej materii.

— Bezradność jakaś wyciera z tych słów, sekretarzu.

— Ja bym powiedział: świadomość sytuacji. I świadomość trudności, z jakimi musimy bronić ideologii, kiedy w każdej chwili ktoś może powiedzieć: „No dobrze, dobrze, ale dlaczego w kapitalizmie są pełne półki?”

— A sekretarz na to, że tam Murzynów biją?

— Nie, to już było. Ja raczej staram się dyskutować, jak było rok, dwa lata temu. Trudno się o tym dyskutuje, ale ostatnio widzę jakby większą chęć do dyskusowania w ogóle. Rok temu

był mur nieufności, milczenia, kąpiących uśmiechów. No, nie wszędzie, ale był.

— Zostawiłem to pytanie na koniec. Czy dostrzega sekretarz zagrożenia socjalistycznej odnowy, a to przecież oznacza weryfikację ideologii, w samej partii?

— Wiem, o co chodzi. Przed plenum mówiło się za granicą na Zachodzie, że istnieją w kierownictwie partii jakieś grupy o przeciwstawnych interesach, że zanosi się na konfrontację. Jak wiadomo, okazało się to mitem i przykładem myślenia życzeniowego. Nie ukrywam jednak, że w partii pojawiają się od czasu do czasu tendencje skrzydłowe: rewizjonistyczne i dogmatyczne. General Jaruzelski użył tu porównania do Pszczółki Maji (która przymilaniem chce uzdrawiać wszystkich) i Rozbójnika Rumcajsa (który bez fuzji nie potrafi się poruszać po świecie). Jest to dość trafne porównanie. Ale linia rewidowania orientacji na socjaldemokrację, ani chęć zamordystyczne nie mają szans powodzenia.

— Co zatem?

— To zostało już powiedziane: linia porozumienia i walki. Linia dialogu, cierpliwego dialogu i przekonywania, ale i nieustępliwości wobec pryncypiów.

— Ile porozumienia, ile walki?

— Więcej porozumienia, bo czekających na nie jest znacznie więcej.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
Waldemar Piasecki

Takie uproszczone — moim zdaniem — pojmowanie podstaw trwałości tych czasopism nie odpowiada przede wszystkim prawidłom drogi rozwojowej samej „Kamena”. W jawnej sprzeczności pozostaje także z wynikami badań empirycznych, przeprowadzonych w ostatnim czasie przez Zakład Dziennikarstwa Uniwersytetu Śląskiego. Wyniki tych badań pozwalają mianowicie obserwować wyraźne relacje między ruchliwością społeczną mieszkańców danego regionu, a stanem zapotrzebowania na wszelkiego rodzaju czasopisma lokalne i regionalne periodyki społeczno-kulturalne. Im wyższy standard aktywności organizatorskiej, politycznej i kulturalnej reprezentowała dana społeczność terytorialna, tym głębiej i szerzej sięgały czytelnice zainteresowania regionalnymi czasopismami społeczno-kulturalnymi i lokalnymi, obejmując coraz to więcej grup zawodowych, składających się na strukturę społeczną mieszkańców danego obszaru¹⁾.

Wydaje się, że na tej właśnie drodze omawiane tu czasopisma nabierają cech trwałej zdobyczy kulturalnej. Umocniają się zaś tym bardziej i głębiej zakorzeniają w społecznej glebie regionu, im lepiej i skuteczniej potrafią pełnić funkcje rzeczownika, a nawet trybunu, z której nie tylko grupy artystyczne i profesjonalni twórcy, ale także szersze kręgi danych społeczności terytorialnych artykułują swoje liczne, specyficzne lokalne potrzeby. Nie może to oczywiście nie umacniać ich więzi oraz wzbogacać świadomości terytorialno-kulturowej wspólnoty i tożsamości. Wiemy zaś skądinąd, że ze społeczno-politycznej kompresji, tak, w taki sposób i w takim kierunku pielęgnowanych więzi i ugruntowanych tożsamości wyrasta i na nich spoczywa więź szersza; narodowa mianowicie. W niej to owe regionalne odmienności stanowią zawsze coś w rodzaju najbardziej elementarnych, ale i najsilniejszych znaków rozpoznawczych pozwalających człowiekowi każdej narodowości odróżnić to, co swojskie, od tego, co obce. Wyniki przytoczonych wyżej badań przekonują, że w utrwalaniu takich właśnie znaków, będących, najogólniej biorąc, społecznymi wartościami mieszkańców poszczególnych regionów kraju, każde mądrze redagowane, społeczno-kulturalne pismo regionalne, bądź lokalne może działać więcej niż wszystkie pozostałe środki komunikowania społecznego razem wzięte. W tej materii upatrywać również należy ważnych źródeł społecznej skuteczności, rosnącej rangi i znaczenia oraz trwałości egzystencji regionalnych czasopism społeczno-kulturalnych.

Na korzyść powyższych ustaleń przemawiają również liczne fakty, znaczące szlaki i bezdroża dziejów polityki kulturalnej, z której koncep-

cyjami losy regionalnego czasopiśmiennictwa były od początku, to jest od 1944 roku, jak najściślej powiązane. Był pism regionalnych i ich egzystencja były z tej właśnie przyczyny zawsze bardziej podatne niż wszystkie pozostałe tytuły na wszelkie drgnięcia i zmiany w tych koncepcjach. Dowodów dostarczają zwłaszcza losy katowickiej „Odry” z lat 1945—1950 i „Kamena” także. W miarę, jak coraz podatniejszy grunt zdobywały sobie koncepcje centralistyczne w kulturze, regionalnym inicjatywom kulturotwórczym — a czasopismo społeczno-kulturalne jest niewątpliwie jedną z takich instytucji — wiodło się coraz gorzej. W nieporównanie korzystniejszej pod tym względem sytuacji były od początku periodyki o ogólnokrajowym obiegu. Wprawdzie i w tej grupie nie udało się — jeśli nie brać pod uwagę krakowskiego „Życia Literackiego” — zachować trwałości tytułów, udało się jednakże utrzymać nieprzerwaną kontynuację czasopiśmiennictwa społeczno-kulturalnego i utrwalić je jako jeden ze znaczących nurtów rozwojowych powojennej prasy polskiej.

Tendencje centralistyczne w programie polityki kulturalnej stały — rzecz to powszechnie znana — w ostrej sprzeczności z ambicjami, potrzebami, tradycjami i dążeniami zwłaszcza niektórych regionów kraju. Głównie dotyczy to ośrodków o potencjalnie dużych możliwościach kulturotwórczych i prasowo-wydawniczych. Lublin był jednym z takich ośrodków; Lubelszczyzna zaś jednym z takich regionów. Krytyka takich koncepcji zaczęła się jednak mocniej uzewątrzniać dopiero w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, a więc wtedy gdy na polu regionalnego czasopiśmiennictwa społeczno-kulturalnego przeważnie nie było już czego umacniać i doskonalić, lecz gdy trzeba było rewindykować, odbudowywać rozproszone zespoły i środowiska, bądź tworzyć je od nowa.

W 1959 roku Jan Szczepański pisał: „Wydaje się, że za podstawę planowania kultury trzeba przyjąć inną teorię osobowości i inną teorię kultury”²⁾. Dyskusja, a nawet spory o politykę kulturalną — jak pisze R. Karpiński — o „jej podstawy teoretyczne i praktyczne dyrektywy realizacyjne przewijają się także w materiałach IV i V Zjazdu PZPR, a ponadto znajdują wyraz w ostrych — zwłaszcza w drugiej połowie lat sześćdziesiątych — dyskusjach ideologicznych”³⁾.

Wtedy też rodzi się pojęcie nowego regionalizmu, które J. Kossak nastę-

pująco formułował: „Dawny regionalizm, także ten z okresu dwudziestolecia międzywojennego, miał bądź tendencje wyraźnie odśrodkowe, separatystyczne, bądź też oznaczał próbę zdominowania kultury narodowej przez folklor jednego tylko regionu. Dawny regionalizm wiązał się też przede wszystkim z kultywowaniem miejscowej zasiedziałości tradycji [...]. Nowy regionalizm wyrasta z patriotycznego zrywu, ze społeczno-kulturalnej aktywności zmierzającej do unowocześnienia życia i kultury na własnym terenie”⁴⁾.

Reakcja ze strony centralnych ośrodków decyzyjnych na tę dyskusję i nowe, formułowane dopiero koncepcje polityki kulturalnej wyrażała się początkowo głównie w kategoriach administracyjnych, w formie tak zwanej decentralizacji oraz ustępstw na rzecz żądań terenu — jak wtedy nazywano wszystkie regiony kraju poza Warszawą. W rezultacie na rynek czytelniczy wraca najpierw i ponownie szybko utrwala się „Kamena”, przejęta już w 1966 roku przez RSW. Następnie, w roku 1963, w miejsce zlikwidowanej w roku 1950 „Odry” powstaje w Katowicach dwutygodnik społeczno-kulturalny „Poglądy”. W miarę utrwalania się nowego regionalizmu, w drugiej połowie lat sześćdziesiątych powstają bądź otrzymują status pism RSW następne periodyki społeczno-kulturalne: w roku 1968 rzeszowskie „Profile”, białostockie „Kontrasty” i mazowieckie „Barwy”, a w rok później koszalińskie „Pobrzeże”. W rezultacie dalszego rozwoju tego procesu w latach siedemdziesiątych wszystkie pozostałe regionalne ośrodki kulturalne szczebla wojewódzkiego zaczynają wydawać własne periodyki tego typu.

Mamy obecnie w Polsce kilkanaście czasopism społeczno-kulturalnych. Wiele spośród nich w ucieczce przed luzinkowością i w trosce o indywidualność nieustannie poszukuje formuły i niepowtarzalności, nierzadko nawet poszukuje do absurdu. Ostatnio jest to nawet zjawisko tak częste, iż można mówić o pewnej maniere, której udało się uniknąć „Kamena”.

W opinii prasoznawcy jest to dwutygodnik społeczno-kulturalny tyleż „lubelski” w swej tematyce i treści, co „krakowski” jest „Życie Literackie”. Różnią się natomiast te dwa periodyki doborem problematyki uniwersalnej pod względem geograficznym. W „Życiu Literackim” częściej niż w „Kamencie” oglądać można świat i dowiadywać się czym — w

dziejnie literatury i teatru zwłaszcza — żyją nasi bliźni lub dalsi sąsiedzi. „Kamena” od tej problematyki nie stroni, ale też nie traktuje jej prestiżowo.

Numery „Kamena” przynoszą sporo materiałów oświatowych, od których raczej stroni „Życie Literackie”. Nie dziwnego. Każde z tych dwóch pism ma jednak w szczególności nieco inne zadania i nieco inne funkcje do spełnienia. W masie swej nie tą samą rozporządzają także publicznością. „Kamena” jest bliższa ideału pisma społeczno-kulturalnego dla „wszystkich”, dla wszystkich, którzy prase tygodniową już czytać umieją, ale także dla tych, którzy stawiają jej wymagania i grymaszą, gdy „ich” pismo nie potrafi im sprostać i wreszcie dla tych, którzy żywo interesują się problemami swojego regionu. „Życie Literackie” jest natomiast bliższe tym, którzy przede wszystkim stawiają wymagania, za wartość tygodników bardziej „smakują”, niż czytają, i którzy — obok tematów do dyskusji w domu, klubie i kawiarni — po piśmie swym spodziewają się orientacji w wielkich i małych sprawach życia kulturalnego przede wszystkim w metropolii i na świecie a potem w pozostałych ośrodkach kraju.

I na koniec ośrodek akademicki takiej miary i znaczenia jak Lublin — ośrodek, na który składa się kilka utrwalańców już w naszej świadomości i kulturze narodowej uczelni — skupia ludną społeczność młodzieży akademickiej w tym także liczącą się grupę młodzieży twórczej z powodzeniem wprawiającej się w sztukę władania piórem. Czyż bez udziału „Kamena”, jej wsparcia i zachęty byłoby to możliwe? Oczywiście nie! Aby sobie to do końca uświadomić, wystarczyłoby policzyć tych wszystkich, którzy w tym właśnie periodyku stawiali pierwsze kroki.

1) Patrz: A. Paczkowski: Prasa polska 1918—1939, Warszawa 1960, s. 252—276.

2) K. A. Jaworski: Start „Kamena”; przedruk „Kamena” nr 32 z 1963 roku; przedruk, także nr 39 z 1963 roku.

3) R. Karpiński: Prasa w systemie kultury, Warszawa 1979, s. 7—8.

4) J. Mądry: Czynniki sprawczo-rozwojowe i funkcje prasy lokalnej a determinanty dziennikarskiej realizacji tygodników w powojennej Polsce. Społeczne funkcje tygodników lokalnych Śląskiego Wydawnictwa Prasowego, Katowice 1963.

5) J. Szczepański: Uwagi o teoretycznych założeniach planowania kultury. Odmiany czasu teraźniejszego, Warszawa 1973, s. 428.

6) R. Karpiński: op. cit., s. 101.

7) J. Kossak: Spór o współczesną kulturę, Warszawa 1962, s. 329.

SAMORZĄD miejski w Lublinie, który odrodził się do życia u progu Drugiej Rzeczypospolitej, oparty został na demokratycznych podstawach i otrzymał od władz państwowych szerokie uprawnienia. Dotyczyły one samodzielniego administrowania ważnymi dziedzinami życia publicznego: gospodarczą, zdrowotną, kulturalną. Organami ustrojowymi samorządu były: Rada Miejska, wybierana przez mieszkańców miasta w wyborach powszechnych oraz kolegium Magistratu. Ważną rolę w życiu samorządu spełniali: prezydent i wiceprezydent miasta.

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. Lublin był miastem biednym i zaniedbanym. Społeczeństwo najbardziej odczuwało to zaniedbanie w dziedzinie warunków higieniczno-sanitarnych i zdrowotnych oraz opieki społecznej. Rozwiązywanie palących problemów mieszkańców wymagało oprócz środków finansowych także wiele inicjatywy i pasji społecznego działania. Inicjatywą tej nie brakowało radnym miejskim i członkom Magistratu, którzy jakże często stawiali sobie za główny cel działalności w samorządzie niestanie pomocy każdemu, kto jej potrzebował. Poza bieżącymi celami i zadaniami społeczno-gospodarczymi dostrzegali też wychowawcze aspekty samorządu.

Do grona najciekawszych ludzi lubelskiego samorządu w pierwszych latach niepodległości należał niewątpliwie wiceprezydent miasta Władysław Uziembło. Wybrany został na to stanowisko w marcu 1919 r. głosami lewicy Rady Miejskiej. Miał już wówczas mandat radnego z listy PPS. Najwięcej uwagi poświęcił on socjalnej działalności samorządu, obejmującej świadczenia w dziedzinie opieki społecznej, zdrowotności i aprowizacji.

Mimo stosunkowo krótkiej, bo niespełna pięcioletniej działalności w samorządzie Lublina, Władysław Uziembło wywarł znamienne piętno na życiu Rady Miejskiej, a zwłaszcza Magistratu. W 1919 r. jako zaledwie 32-letni wiceprezydent miasta, z zawodu technik elektryk, miał już bogate doświadczenie w pracy politycznej i organizacyjnej. Godność wiceprezydenta

Lublina pełnił do stycznia 1923 r. Na stanowisku tym dał się poznać jako utalentowany organizator. Umiał podejmować śmiałe decyzje, znany był z nowatorstwa w zarządzaniu powierzonymi mu wydziałami Magistratu. Zwalczal bezwzględnie biurokracizmy urzędników miejskich. Pełen humoru, a nawet ironii miał osobliwy sposób bycia. Ubiorem swym demonstrował przynależność do braci robotniczej, wśród której czuł się najlepiej. „Cho-

Z dziejów Lublina

Prezydent we frenczu i butach z cholewami

działem wówczas — wspomina — w krótkiej watawanej kurtce i w butach z cholewami. Nie nosiłem też marynarki, ale zwykły frenez. Nie zmieniłem stroju do „urzędowania” i nie wyglądałem reprezentacyjnie.

Warto w tym miejscu poświęcić kilka zdań na temat życia Władysława Uziembła, zresztą barwnie opisanego przez niego samego w książce „Wspomnienia 1900—1939” (Warszawa 1963). Urodził się 1 maja 1887 r. w Pokrowskoje na terenie guberni twerskiej, jako syn Tomasza Józefa, członka Wielkiego Proletariatu, przebywającego tam na zesłaniu. Matka jego, Rosjanka, z zawodu lekarz, była córką Aleksieja Golowaczowa, postępowego ekonomisty, współpracującego z Mikołajem Czernyszewskim. Od 1906 r. W. Uziembło był członkiem PPS — Frakcji Rewolucyjnej. Prowadził tajną drukarnię tej partii w Warszawie. Po aresztowaniu więziony był przez władze carskie. W 1917 r. brał czynny udział w Rewolucji Październikowej na Ukrainie, organizując

Zjednoczenie Socjalistów Polskich w Charkowie. W roku 1918 powrócił do kraju, brał udział w przygotowaniu i proklamowaniu niepodległej Polski przez rząd Ignacego Daszyńskiego w Lublinie. W mieście tym wkrótce stanął na czele pierwszej w kraju Rady Delegatów Robotniczych, a na początku 1919 r. wybrano go tu na przewodniczącego Okręgowego Komitetu Robotniczego PPS. W 1922 r. został wybrany posłem na Sejm, co zadecydowało o jego odejściu z Lublina. Przez cały okres międzywojenny był członkiem Rady Naczelnej PPS, odpowiedzialnym za sprawę rozwoju samorządu terytorialnego.

W działalności samorządowej w Lublinie — zwłaszcza w pierwszym okresie — Uziembło napotykał na liczne trudności i przeszkody. Poznał on dopiero nowe, skłócone wewnętrznie środowisko, w którym nadal toczyła się walka o władzę. Obejmując urząd wiceprezydenta, miał, jak sam stwierdził, ograniczone pojęcie o zadaniach samorządu miejskiego, o jego uprawnieniach i możliwościach. Wybory do Rady Miejskiej przeprowadzone na początku 1919 r. dały przewagę prawicowemu stronnictwom polskim oraz burżuazji żydowskiej. Prezydentem miasta został wybrany adwokat Czesław Szczepański, bezpartyjny, poparty przez prawicę i centrum Rady. Największe wpływy na decyzje Rady

Miejskiej aż do 1927 r. miał klub narodowy, kierowany przez znanego działacza endecji, doktora medycyny Adama Majewskiego. Większość stanowisk w Magistracie organie korzystającym z szerokiego uprawnień, przypadło reprezentantom endecji bądź jej zaufanym. Władze miejskie prowadziły politykę społeczną jawnie klasową, wyrażającą interesy przemysłowców i drobnomieszczanstwa. Uszczuplały one środki finansowe na rozwój oświa-

Józef Marczuk

ty, służby zdrowia i opieki społecznej.

W kolegium Magistratu oprócz Władysława Uziembła znaleźli się dwaj inni wypróbowani działacze PPS: Ignacy Kubecki i Stefan Choma. Jako laicy objęli oni kierownictwo nad wydziałami: opieki społecznej oraz aprowizacyjnym. Uziembło sprawował zaś bezpośredni nadzór nad tymi wydziałami.

Uziembło jako działacz polityczny, przywykł do przemawiania na wiecach oraz prowadzenia dysput wśród robotników, redagowania rezolucji, z trudem przyzwyczajał się do prezydenckiego biurka. Nieufnie też, jako „czerwony” przyjmowany był przez prezydenta Szczepańskiego i jego najbliższe urzędnicze otoczenie. Oto jak opisał pierwszy dzień swego urzędowania: „Gdy

ŚRODOWISKO LUBELSKIE (17)

„Olut” i „pani Zosia”

Mirosław Derecki

PIERWSZY raz zobaczyłem Aleksandra Aleksego na scenie w 1955 r. W Teatrze im. Osterwy szedł „Mazepa”, pamiętne przedstawienie, wyreżyserowane przez Wandę Laskowską; Aleksy grał Wojewodę. Ta postać — dumna, nieprzystępna, mroczna, z pozoru chłodna, a przecież trawiona wielkim wewnętrznym ogniem, ta rola — wielka i tragiczna, pasowała jak ulał do aktorskiego emplotu i do... całej postawy życiowej czołowego aktora lubelskiej sceny. Grywał Aleksander Aleksey najchętniej „szlachetnych ojców”, „ojców tragicznych” lub farganych namiętnościami królów czy wielmożów, choć jego ideałem był nie „królewski” Ludwik Solski, ale odtwórca ról „zwykłych, szarych ludzi” — Stefan Jaracz. Studiował życie Jaracza i marzył, że kiedyś napisze sztukę o tym wielkim aktorze. I że w sztuce tej zagra tytułową rolę. Należał do tych ludzi, którzy swoje życie i swój zawód traktują serio i z godnością, i do tych aktorów, którzy uważają, iż zostali powołani przez los do pełnienia misji szczególnej. O nich to pisał Wyspiański:

To nie są błazny — chociaż błaznów mlano, oklaskiem darząc, w oczy im rzucano — lecz ludzie — których na to powołano, by biorąc na się maskę i udanie, mówili prawdy wiecznej przykazanie. Na co stać kogo, tajemnie tych ślega; wieczna w tym siła, groza i potęga.

Czuli przed „Olutem” respekt kole-dy-aktorzy, kokietowali go na próbach — bo łatwo się obrażał — reżyserzy: „Panie Aleksandrze, może by pan zechciał laskawie stanąć frontem do widowni”, „Oleczku, czy nie sądzisz, że chyba za długo zawieszasz głos w tym miejscu...” Tak się z nim pięścili, mimo że nieraz krew ich zalewała, bo Aleksy nie lubił uczyć się tekstu. Na

próbach „haftował”, co było udręką dla partnerów umiających już na pamięć swoje role. Nie inaczej bywało nieraz i na przedstawieniach. A zdarzały się też momenty, kiedy „Olut” zapominał tekstu na dobre. Na scenie powstawała wówczas niezauważalna dla widzów, panika. Sekundy tekstowej „dziury” rozciągały się, dla aktorów, w całe godziny. Tylko pan Aleksander był spokojny. Tym spokojem i opanowaniem starych aktorów, którzy kiedyś co tydzień grali nową premię-rę, i którzy żyli właśnie dlatego w ścisłej symbiozie z suflerem. Nagle więc „zagrywał” w stronę lewej kulisy, zbliżał się do miejsca, gdzie przy suflerskim stoliku czuwała jego żona, i — czarując widzów całym wachlarzem „stanów przeżywania” — rzucił przez zęby, samym kącikiem ust, idące gdzieś z głębi brzucha, kategoryczne wołanie: „CO?! CO?!”. I po chwili sytuacja była uratowana.

Trafił Aleksander Aleksey do Lublina w roku 1952. Przybył tutaj z Teatru Powszechnego w Łodzi, jako aktor w pełni dojrzały, mający w dorobku role tej miary co Konrad, Książę Piotr, Senator w „Dziadach”, Wielki Książę Konstanty w „Nocy Listopadowej”, Judasz w „Judaszu z Karliothu”, Kaligula w znanej sztuce Rostworowskiego. Wydawało się, że zabawi w Lublinie niedługo; należał do tych aktorów, którzy przemierzali Polskę wzdłuż i wszerz, nigdzie zbyt długo nie popasując. Wilnianin z urodzenia, już w czasach gimnazjalnych stawiający pierwsze kroki na scenie teatru na Pohulanec, absolwent Szkoły Dramatycznej przy lwowskim Konserwatorium, poznał jeszcze przed wojną sceny Kalisza, Torunia, Grodna, Białegostoku, Bydgoszczy, Poznania; w 1938 r. zaangażował się do Teatru Malickiej w Warszawie. W czasie wojny — dwa lata siedział w hitlerowskim więzieniu. Zaraz po wojnie — znowu teatr, i znowu — wędrowanie ze sceny na scenę: Kalisz, Wrocław, Częstochowa, Łódź...

Ale właśnie Lublin miał się stać jego ostateczną życiową przystanią. Tutaj zagrał swoje najlepsze role — Wojewody w „Mazepie” Słowackiego, Don Diega w „Cydzie” Corneille’a — Wyspiańskiego, Phila Hogana w „Księżyc świeci nieszczęśliwym” O’Neila, Majora w „Fantazym”, Prochora w „Wassie Żeleznowej”, Filipa II w „Don Carlosie” Schillera...

W artykule z okazji jubileuszu czterdziestolecia pracy aktorskiej Aleksandra Aleksego pisała Maria Bechczyc-Rudnicka: „Aleksy jest aktorem typu emocjonalnego. I to zapewne stanowi w dużej mierze o Jego uniwersalnej u nas popularności. Aktorzy „intelektualni”, zimni, stałe z zasady „stojący obok roli”, łatwiej dają się wmontować w nowoczesne inscenizacje, ale indywidualne ich walory są dostrzegane raczej przez reżysera, wytrawną krytykę i stosunkowo ograniczony krąg widzów. Aktor „emocjonalny” w najlepszym sensie słowa, który jak Aleksy potrafi łączyć przeżycie z samokontrolą, porównać całą widownię, niezależnie od stopnia jej wyrobienia teatralnego. Obyśmy jak najwięcej mieli aktorów typu emocjonalnego. Byli oni od wieków filarami teatru, to ich talenty przyciągały na widownię tłumy”.

Nie gardził „Olut”, mimo całej swej powagi, życiem towarzyskim. A i od kieliszka, nie inaczej niż Jaracz, nie stronił. W klubie „Nora”, podczas tańczących wieczorków lub przedświątecznych koleżeńskich „śledzików”, poprzez gwar rozmów, przez obłok alkoholowej aury, przebiegał się raz po raz głęboki, silny baryton „Oluta”: „Byyylo to pod Lidą...!!!” — znany wszystkim wstęp do powtarzanej z upodobaniem przez Aleksego erotyczno-dramatycznej historii z lat młodzieńczych.

Miał też Aleksander Aleksey swoją cichą namiętność: pisanie wierszy.

Tkwili sobie, niewidocznie dla świata, w jakichś brullonach, nie mając pretensji do szturmowania lamów literackich periodyków. Tylko jeden, szczególnie ulubiony, eksponował autor i aktor na estradzie. Wiersz nosił tytuł „Lawina” i był napisany z myślą o możliwości zaprezentowania przez autora wszystkich aktorskich możliwości i umiejętności. Mieszały się tu groza i rzewność, liryka i dramat ocierający się o tragedię, sensacyjność granicyła z... publicystyką. Oto poprzez zimowy, górski krajobraz (którego — należał się domyślać — z krajów kapitalistycznych) pędził luksusowy pociąg, niosący we wnętrzu sypialnych pullmanów bogaczy — nierzadko w towarzystwie żon, kochanek, wyrafinowanych kokot. Zdrowa moralnie załoga lokomotywy dwoi się tymczasem i troi, aby jazda odbywała się strictly zgodnie z rozkładem. Nagle maszynista dostrzeżga ogromną lawinę śnieżną zsuwającą się z piorunującą szybkością po zboczu góry, wprost na pędzący ekspres...! Zdążą czy nie zdążą przejechać? Uratują życie, swoje i pasażerów, czy też pogrzebie ich na wieki biały puch?! Tu — szlachetni proletariusze dobywają ostatniego parowego tchu z maszyn, a tam — w rozkosznej niewiedomości — bogacze zażywają wyrafinowanych uciech...

„Olut” stał przed publicznością i swym pięknym głosem o miękki, wileńskim zaśpiewie, „cieniował” gamę nastrojów:

A w wagonie...
Lord Galluks hhaftki rozpiłinaa...
To pojili, to popasałili...
Tymczasem ci na lokomotywie krzyczą dramatycznie jeden do drugiego:
Lawinaaa!!! Boże!... Uff, przecczedł...!
I znowu nad pociągiem zawisa spokój i powraca refren:
A w wagonie...
I tak dalej, i tak dalej.

Wszyscy aktorzy prześcigali się w naśladowaniu recytacji „Lawiny”, a najlepiej parodiował „Oluta” Marian Drodzowski, dochodząc z czasem do jakiejś niebywałej wręcz perfekcji. Nie wiem, czy Aleksy był z tego naśladownictwa zadowolony, ale faktem jest, że w tym wypadku jego twórczość była rekordy popularności. Jedną z najciekawszych postaci stworzonych przez Aleksandra Aleksego na lubelskiej scenie był król hiszpański Filip II w „Don Carlosie”, wystawionym w połowie 1959 r. Przedstawienie cieszyło się ogromnym powodzeniem.

MOSKWA POETYCKA

Piotr Wiegin

SPOTKANIE

Zawsze kłamala, kłamala, kłamala
i tak szczęśliwie żyła,
torty kroila, herbatę pila
i kłamala,
kłamala,
kłamala.

Ja siwiałem z radości,
rozbeltaną herbatą chleptałem,
potakiwałem, kiwałem
i kłamałem,
kłamałem,
kłamałem.



Rys. E. Inglot

EKOLOGIA

Ochroniając lądy,
tygrysa i wilczycę
zapomnieli o duszy,
pogubili twarze.

Pokradli u siebie
to co sami kupili.

Złe jest bez Bajkała,
gorzej bez Wampilowa.

Moja ulubiona suka
przeżywszy czterdzieści lat
przeniosła się do rajfu.

Nocami słyszę z kosmicznego mroku
jej białozielone szczebanie.
Dźwięczy to w psim narzeczu,
w przekładzie zaś na strofy wiersza:
— Chodź do mnie, do rajfu!
Kto cię obroni,
ostatnie z moich szczebania?
— Nie szczebać, nie szczebać,
moja droga,
nie przywołuj.
Oprócz życia nie chcę
żadnego rajfu.

Zasnęłam w dźwięku jej szczebania.

Nad miejscami patryarchów
ubielonych żółcią
złote ptaki młodości
poruszają skrzydłami.

Do widzenia ptaki wolności,
do widzenia na zawsze,
niech wam będzie z pieśnią
swobodnie jak u nas.

A gdy zatęsknicie,
kiedy zapagniecie
zobaczyć nas w tym miejscu,
poznacie do linałach
naszych przeznaczeń.

(Z tomu Gwiazdozbiór ojca i matki,
Moskwa 1981)

Stanisław Kuniajew

Podaj dłoń, podaj najmiłszą dłoń
i zrozum, że nie wolno w pojedynkę
krążyć po wiecznej przestrzeni
wpadając z jasności w ciemność.

Ręce twoje ucałuję
i zapomnę w twoich dłoniach,
że miotamy się nad przepaścią
w środku katastrof tego świata.

Z MŁODOŚCI

I przyszło mi narodzić się
na tak olbrzymiej ziemi.
Dzięcioł stukał na sośnie,
polany pachniały wiosną,
żywioć i poziomkami.

W taką noc i w taki deszcz
nie zawołasz i nie odpowiesz;
we mgle pół miasta przejdiesz
i nikogo nie spotkasz.
A jeśli ktokolwiek i podejrze —
popatrz nań trzeźwym wzrokiem:
co chce — pchnąć cię nożem,
czy nazwać bratem?

Na szubie osiadł śnieg,
zupa w kotle zamarzała,
oślizłe wiosła
nie trzymają się dłoni.
Ostatni labęgał już odleciał
do jednej z ciepłych stron
gdzieś może aż nad żółty Nil
albo nad niebieski Iran.
Pomyślałem więc, że życia nie ma
pośród północnych przestrzeni...
lecz kruk zakrakał w odpowiedzi:
„A czy ja to nie życie?”

Posłuchaj szumu przepływu rzeki,
posłuchaj szmeru nocą albo dniem
jak ostatni zmęczony śnieg
roztapia się w pierwszym deszczu.

Deszcz ustał, ale jakby „czas”
szepiał cichutko trawie
i wtedy młodziutka trawa
zaszemrała na żółtej ściółce:
złocz się z wiosennym deszczem,
choć na мгновение,
stań bez słowa niby czarna gałąź
a usłyszysz jak martwa trzcinka
odpowiada wiatrom.

Zywy nigdy nie będzie poeta —
przedtem należy przekwitać, umierać
i czas przekwitania w pełni osiągnąć
by potem rozdzielić się na wietrze.

Zyciel! Coś ty — para czy nie para?
Kto wam wymyślił ucieczkę?
Wystrzał — a tak słabiutko drży
niby jarząbek utkwiony w śniegu.

Wy, moralści i sędziowie,
mnie taki dreszcz po grzbiecie?
Czy rozumiecie, że w istocie rzeczy
ja razem z nim dygoczę?

(Z tomu Stoneczne noce, Moskwa 1981)

Siergiej Wikulow

GŁOS

Nie trać słownego ładunku,
Poeto, gdy uspioną masz duszę.
Pozwól pomedytować, bracie,
czy radość ma cię wypełnić czy ból.

Piewcą być matodusznym nie
przystoi!
Nie może tworzyć on i żyć nijaki.
Jeśli jego talent to krzesiwo,
to czymże być powinna jego dusza?
Krzemieniem?!

Przy tym nie w połowie!
Krzemień krzesiwo bliźnim.
Nie może więc to być glina:
Z gliny nie wykrzesisz iskry,
nie dobędziesz ognia.

NIEPOKÓJ

Z upływem lat coraz silniej męczy
mnie pytanie:
czy przeżyty dzień, jak również rok
lepszy był od najgorszego,
czy nie będzie majów w moim życiu?

Dobrze jeśli ten dzień przeszedł
w ogniu,
który zwie się NIEPOKOJEM,
i nagroził mnie utworem poetyckim,
lub choćby jedną strofą,
dobrą książką, radosnym
oczekiwaniem.

(Z tomu Przebaczyć brzocho, Moskwa 1981)

Przekład: Ryszard Dunin



Rys. E. Inglot

W LISTOPADZIE 1963 roku
przyjęto pierwszych 8 studentów
na I rok studiów rusycystycznych
w Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej. Fakt ten
poprzedzony został utworzeniem Zakładu
Filologii Rosyjskiej w ramach
Katedry Języka Polskiego kierowanej
przez prof. Leona Kaczmarską.

W roku 1966 Zakład Filologii Rosyjskiej
podporządkowany został Katedrze
Filologii Słowiańskiej, kierowanej
przez prof. Pawła Smoczyńskiego,
a od roku 1969 Zakład wszedł w skład
Instytutu Filologii Obcych, po kilku
zaś latach — Instytutu Filologii
Rosyjskiej i Słowiańskiej, którego dyrektorami
byli kolejno: prof. Paweł Smoczyński
(do r. 1973), doc. Michał Lesiów
(1973—1976), doc. Józef Borsukiewicz
(1976—1981), doc. Jan Orłowski
(od roku 1981 do dnia dzisiejszego).
Zakładem Filologii Rosyjskiej kierował
do roku 1973 doc. Michał Lesiów.
W tymże roku wydzielili się z Zakładu
dwie odrębne jednostki, a mianowicie
Zakład Języka Rosyjskiego (doc. Teotyn
Rott-Zebrowski był jego kierownikiem
w latach 1976—1981, doc. Michał Lesiów
zaś w latach 1973—1976 i od roku 1981
do dziś) oraz Zakład Literatury Rosyjskiej,
kierowany przez doc. Józefa Borsukiewicza.

Dojrzała już sprawa utworzenia
Zakładu Literatury Radzieckiej i Zakładu
Metodyki Nauczania Języka Rosyjskiego.
Myślało się o Zakładzie Filologii
Ukraińskiej i Białoruskiej. Plany te
zostaną zrealizowane wtedy, kiedy
wzmocniona zostanie samodzielna kadra
naukowa w Instytucie. W Instytucie
Filologii Rosyjskiej i Słowiańskiej
istnieje też Zakład Filologii Słowiańskiej,
kierowany przez doc. Stefana Warcholę,
walnie wspomagający rusycystykę
naukową i dydaktyczną.

Wspomagały rusycystykę lubelską także
inne jednostki organizacyjne UMCS. Przez
kilka pierwszych lat wykłady z historii
literatury rosyjskiej prowadził prof. Narcyz
Lubnicki z Instytutu Filozofii i Socjologii.
W prowadzeniu praktycznej nauki języka
rosyjskiego pomagało Studium Języków
Obcych. Katedra Historii Narodów ZSRR
prowadziła zajęcia z historii Rosji i ZSRR;
w różny sposób — dydaktycznie i organizacyjnie
— wspomagała młoda rusycystyka lubelska
Katedra Języka Polskiego. Niełatwo było
znaleźć wykładowców dla nowo utworzonego
kierunku filologii rosyjskiej — zupełnie na
„pustym” miejscu. Powinno się wspomnieć
o próbach przekonania o rozmowach z
Kazimierzem Andrzejem Jaworskim, Jerzym
Jedrzejewiczem, prof. Czesławem Zgorzel-
skim na temat ich ewentualnych wykładów
z literatury rosyjskiej. Przysłała pomoc
naukowa i dydaktyczna z innych ośrodków
krajo wych. Z Uniwersytetu Jagiellońskiego
dojeżdżali na UMCS prof. Ryszard Łużny i
prof. Wiesław Witkowski; z Uniwersytetu
Warszawskiego — doc. Halina Milejkowska
i doc. Jerzy Lenarczyk. Wiele pracowników
naukowych innych uczelni krajowych
przeżyła się do rozwoju kadry rusycystów
lubelskich poprzez promotorstwo prac
doktorskich młodszych pracowników nauko-
wo-dydaktycznych rusycystyki UMCS,
poprzez recenzowanie prac doktorskich i
habilitacyjnych (na Wydziale Humanistycznym

NAKŁADEM Państwowego Instytutu
Wydawniczego ukazało się dzieło
niezwykłe: trzy obszernie tomy
Dziennika pisarza Fiodora Dostojewskiego.
Przełożyła ów dziennik Maria Leśniewska,
a opracowania wstępu i naukowej
redakcji tekstu podjął się Ryszard Łużny,
znany rusycysta, profesor Uniwersytetu
Jagiellońskiego.

Dostojewskiego, autora głośnych powieści:
Zbrodnia i kara, Idiota, Biesy, Bracia
Karamazow i innych, nie trzeba
przedstawiać polskim czytelnikom.
Jest to pisarz dostatecznie spopularyzowany
dzięki licznym wydaniom najbardziej
znanych jego dzieł, artykułów o sztuce,
obszernego wyboru listów i notatników,
wreszcie wspomnień i dziennika żony
pisarza, Anny Dostojewskiej. Nie
przestaje też Dostojewski interesować
historyków literatury, którzy starają się
złagodzić tajemnicę jego artyzmu,
ogromną myślową zawartość jego
spuszczony literackiej, jego stosunek do
spraw polskich i wreszcie oddziaływanie
na literaturę polską.

Inaczej zgola rzecz ma się z Dziennikiem
pisarza, dziełem mało znanym, nie
wznawianym od wielu dziesięcioleci,
owlanym pewną aurą tajemniczości.
W polskim tłumaczeniu ukazuje się
on po raz pierwszy dopiero po
upływie przeszło stu lat od śmierci
Dostojewskiego.

Dziennik pisarza jest dziełem
różnicowanym ze względu na czas
powstania, charakter wypowiedzi
autora i podejmowaną problematykę.
Ryszard Łużny stwierdza we wstępie, iż
jest to dla czasów Dostojewskiego i
późniejszych niespotykany gatunek
wypowiedzi pisarskiej, „wyraźnie
synkretyczny, w swej istocie
heterogeniczny, bo łączący w sobie
elementy twórczo-

odbyło się 4 przewody habilitacyjne miejscowych rusycystów, a także poprzez opiekę naukową nad stażystami. Szczególnie aktywne w tym względzie były kontakty z UW, UJ i UL.

Nielatwo przebiegał proces kompletowania zespołu pracowników naukowo-dydaktycznych na rusycystyce lubelskiej. Przez cały czas dużą pomocą służyli pracownicy naukowi przebywający w Lublinie gościnnie: doc. Ewelina Wojnowa i prof. Iwan Wiszniewski ze Lwowa, doc. Paweł Sigalow i doc. Walery Biezbobow z Tartu (Estonia), dr Andrzej Mirecki z Leningradu, doc. Swietłana Fienina i prof. Andriej Zacharkin z Moskwy, doc. Paweł Iwiński z Wilna, doc. Swietłana Prochorowa z Mińska (Białoruś), doc. Marietta Martyrosjan z Erewania (Armenia), doc. Lilia Bykowa i doc. Walery Gutorow z Charkowa, doc. Idea Bobrowa z Irkucka, doc. Zoja Komarowa ze Swierdłowska, a obecnie dr Natalia Uszakowa z Leningradu i Rauf Safarowa z Baku (Azerbejdżan). Wszyscy oni w dużym zakresie pomagali swoją wiedzą i umiejętnościami dydaktycznymi, za co należy im się w tym miejscu głęboki ukłon.

W roku 1963 rozpoczęło się kompletowanie własnej kadry naukowo-dydaktycznej na rusycystyce lubelskiej. W tym właśnie 1963 roku z Katedry Języka Polskiego przeniesiony został na rusycystykę dr Michał Lesiów (od r. 1969 docent), w r. 1964 do Zakładu Filologii Rosyjskiej przybył mgr Czesław Sim (od r. 1972 doktor), w r. 1965 — mgr Teotyń Rott-Zebrowski (od r. 1967 doktor, od 1975 docent) i mgr Maria Kuźmin (1974 — doktor), w r. 1966 — mgr Maja Szymoniuk (1973 — doktor, 1983 — docent), w r. 1967 — mgr Jan Orłowski (1971 — doktor, 1975 — docent), w r. 1968 przybył do Zakładu dr Lija Borsukiewicz i dr Józef Borsukiewicz (od 1975 docent) itd. Od roku 1969 można już było angażować do pracy w rusycystyce lubelskiej własnych absolwentów. Własnymi wychowankami są m.in.: dr Zbigniew Maciejewski (prace od r. 1969), dr Jan Sienkiewicz (od r. 1970), dr Danuta Szymonik (1971), dr Witold Kowalczyk, dr Michał Sajewicz (1972), dr Halina Rycyk, dr Wiesława Woźniak, dr Anna Pado, dr Anna Jemeljanuk, mgr Halina Horbowicz i kilku innych, którzy na ogół sprawdzili się jako nauczyciele akademicy. W

tych czasie przybyło też kilku pracowników spoza UMCS, a mianowicie: dr Maria Cymboraka (1969), mgr Jadwiga Kempczyńska (1971), dr Wanda Fal (1970) mgr Nina Wróblewska (1970), mgr Roman Lewicki (1976) i inni.

Zespół pracowników naukowo-dydaktycznych ustalił się ilościowo, rozpoczął się jego wzrost jakościowy, trwający nieustannie, mimo że kilku pracowników wiele utalentowanych odeszło do innych ośrodków. W obu zakładach pracuje obecnie 32 osoby, w tym 1 docentów, 11 adiunktów, 4 starszych asystentów i 17 starszych wykładowców i wykładowców, oraz 7 lektorów, co pozwala na mniej więcej normalne funkcjonowanie dydaktyki i nauki w lubelskim ośrodku rusycystycznym. Rozwijał młodej kadry pomagał niewatpliwie ścisły kontakt z ośrodkami filologicznymi w ZSRR, z rusycystyką i slawistyką lwowską, woroneżską, wileńską, leningradzką, moskiewską. Do tych ośrodków naukowych wyjeżdżał lubelscy stażysty i wiele skorzystał pod względem naukowym.

Aktywnie rozwijał się studenckie Kolo Naukowe Rusycystów. Na kolejnych sympozjach ogólnopolskich od roku 1967 studenci z Lublina zdobywali nagrody i wyróżnienia. Członkowie Kola drukowali swoje prace w zbiorach krajowych, a nawet zagranicznych, np. Krystyna Ejdoska, Ewa Szymańska, Halina Rycyk i Michał Sajewicz publikowali swe prace w zbiorze studenckich prac naukowych w Tartu (Estońska SRR) w roku 1971; Nina Wasiluk i Helena Franćczuk umieścili swe referaty w „Księdze Referatów Ogólnopolskiego Studenckiego Seminarium Dialektologicznego” Kraków 1976. Ważnym wydarzeniem dla studenckiego ruchu naukowego było zorganizowane w Lublinie w roku 1969 ogólnopolskie sympozjum rusycystyczne, na którym lubelscy studenci otrzymali 4 nagrody i 1 wyróżnienie.

W ciągu 20-letniego okresu magisterskie dyplomy w zakresie filologii rosyjskiej uzyskało prawie 1100 studentów, w tym około 700 na studiach dziennych i około 400 na studiach zaocznych dwóch typów (4-letnie i 5-letnie). Studenci, rekrutujący się przede wszystkim z b. województwa lubelskiego i województw przyległych, zacięli poważnie kadrę nauczycieli szkół średnich i podstawowych, lektorów w lubelskich uczelniach: jedenastu absolwentów zdobyło stopień naukowy doktora nauk humanistycznych, osiemnastu pracuje w Instytucie jako nauczyciele akademicy, stanowiąc trzon młodej kadry.

Kierunki naukowe obu zakładów rusycystycznych są różnorakie. Badania skupiają się wokół problemów językoznawczych i literaturoznawczych. W

Zakładzie Języka Rosyjskiego badane są problemy gramatyki konfrontatywnej języka polskiego i rosyjskiego, głównie w zakresie leksyki, frazeologii i składni (m.in. prace dr Wandy Fal i dr Anny Pado), zagadnienia metodyki nauczania języka rosyjskiego w szkołach polskich (praca doktorska dra Czesława Sima i dr Haliny Rycyk), dialektologia wschodniosłowiańska ze szczególnym uwzględnieniem ukraińskiej, onomastyka słowiańska (m.in. praca habilitacyjna doc. Michała Lesiowa), historia języka staroruskiego, rosyjskiego i ukraińskiego (prace doc. T. Zebrowskiego, doc. Michała Lesiowa, dr Jana Sienkiewicza i dr Barbary Perczyńskiej), stylistyka (prace doc. Maji Szymoniuk i mgr Romana Lewickiego), gramatyka opisowa języka rosyjskiego (prace dr Liji Borsukiewicz i dr Alisy Pawlik); język folkloru (prace doc. Michała Lesiowa).

Pracownicy Zakładu Literatury Rosyjskiej opracowują szczegółowe problemy z historii literatury rosyjskiej wszystkich prawie okresów — od wieku XVIII do dnia dzisiejszego. Wynikami tych badań są liczne artykuły, prace doktorskie i habilitacyjne oraz pozycje książkowe, np. doc. Jana Orłowskiego „Niekrasow w Polsce (lata 1858—1914)”. Wrocław 1972; doc. Józefa Borsukiewicza „Wissarion Bielicki i romantyzm rosyjski”. Warszawa 1975; dra Zbigniewa Maciejewskiego „Proza Maryny Cwietajewej jako program i portret artysty”. Warszawa 1982; dr Marii Cymborowskiej-Lebudy „Dramaturgia Leonida Andrejewa”. Warszawa 1982. Poważne miejsce w badaniach literaturoznawczych zajmuje zagadnienie polsko-rosyjskich stosunków literackich w przeszłości i dociekania na temat rosyjskiej literatury radzieckiej.

Publikacje naukowe pracowników filologii rosyjskiej UMCS stanowią osobne studia, skrypty i przewodniki metodyczne, artykuły naukowe i popularnonaukowe, recenzje i doniesienia naukowe. W roku 1972 dorobek publikacyjny pracowników rusycystyki lubelskiej zamykał się liczbą 218 pozycji. Od tego czasu ilość publikacji wzrastała z roku na rok. Za lat 20 można w przybliżeniu podać około 740 pozycji, które wyszły spod pióra pracowników naukowo-dydaktycznych rusycystyki UMCS. Prace te weszły już w obieg naukowy w kraju i za granicą, niektóre były nagradzane przez ministra i rektora, mają też pozytywne oceny w recenzjach krajowych i zagranicznych.

Przejawem prężności i aktywności środowiska rusycystycznego UMCS są sesje naukowe zorganizowane w Lu-

blinie. Z okazji 10-lecia rusycystyki lubelskiej odbyła się w grudniu 1973 roku sesja naukowa i opublikowano tom prac „Ze studiów rusycystycznych” (Lublin 1975, 226 stron). We wrześniu 1978 roku odbyło się w Lublinie międzynarodowe sympozjum na temat podstaw przygotowania i podwyższania kwalifikacji wykładowców języka i literatury rosyjskiej, zorganizowane przez MAF, JAL i Instytut Filologii Rosyjskiej i Słowiańskiej UMCS; opublikowano też tom prac pt. „Problemy podgotówki i powyszenia kwalifikacji nauczycieli rosyjskiego języka i literatury” (Lublin 1979, 455 stron). Od roku 1974 odbywają się corocznie sympozja naukowe wspólne z rusycystami i slawistami Uniwersytetu im. Pałackiego w Ołomuńcu, których pokłosiem są wydawane w obu zaprzyjaźnionych uniwersytetach kolejne tomy prac (wyszło dotychczas 6 tomów, następne w przygotowaniu). W wyniku współpracy trzech uniwersytetów krajowych (UMCS, UW i UL) wydany został tom prac pt. „Problemy nauczania przedmiotów kierunkowych na studiach rusycystycznych” (Lublin 1983, 146 stron).

Pracownicy lubelskiej rusycystyki świadczą też pomoc naukową i dydaktyczną innym ośrodkom jako opiekunowie stażystów, którzy przyjeżdżali z Gdańska, Olsztyna, Białegostoku i Opola; jako promotorzy prac doktorskich młodych pracowników z zewnątrz; jako recenzenci prac doktorskich, a nawet habilitacyjnych zapraszani przez UW, UL, UJ, USL, PAN i in. Rusycysty z UMCS wykładają często odczyty w wielu ośrodkach rusycystycznych i slawistycznych, a zdarza się, że regularnie prowadzą zajęcia dydaktyczne, np. doc. Michał Lesiów od siedmiu lat odbywa zajęcia na filologii rosyjskiej w III UW w Białymstoku, a w roku akad. 1974-1975 prowadził zajęcia na slawistyce w Uniwersytecie Harvarda (USA) jako visiting lecturer. Pracownicy UMCS-owskiego ośrodka rusycystycznego uczestniczą w kolegiach i konferencjach takich periodycznie w naukowych, jak: „Przegląd Rusycystyczny”, „Lubelskie Materiały Neofilologiczne”, „Harvard Ukrainian Studies”; i społeczno-kulturalnych — „Biuletyn Stowarzyszenia Twórców Ludowych”, „Nasza Kultura”; są powoływani do składu Komitetu Słowianoznawstwa PAN.

Ważną sprawą jest współpraca z takimi instytucjami i organizacjami oświatowymi i kulturalnymi, jak: TPPR (odczyty, olimpiady języka rosyjskiego, turnieje znajomości języka rosyjskiego i wiedzy o Kraju Rad), FWP, PTR, UTSK STL, z prasą miejscową i krajową. Warto tu wspomnieć o mniej więcej regularnym cyklu w latach 1968—1973 „Ja Bugiem” w „Kamieniu”.

Gigantyczna praca Dostojewskiego

Jan Orłowski

ści artystycznej i publicystyki, operujący bardzo szeroką skalą środków wyrazu od tonacji wyznania czy spowiedzi oraz wspomnień osobistych aż do wysokiej patetyki oratorskiej bądź sarkazmu i demaskatorstwa, umożliwiający szybkie i skuteczne reagowanie na najbardziej aktualne, wręcz palące problemy chwili bieżącej. A te przecież stanowiły pasję życiową pisarza oraz podstawowe tworzywo zarówno jego nowel i powieści, jak i prozy wspomnieniowej, artykułów krytyczno-literackich czy publicystyki politycznej.

Na trzy tomy *Dziennika pisarza* (łącznie 1255 stron druku!) złożyła się gigantyczna i mordercza praca Dostojewskiego od stycznia 1873 do stycznia 1881 roku, tj. właściwie do śmierci autora (przerwy wystąpiły w latach 1874—1875 i 1878—1879). W sumie wyszło 39 zeszytów *Dziennika* od stałej pozycji w tygodniku „Grażdanin” księcia Włodzimierza Mieszczerzkiego w początkowym okresie (rok 1873) aż do oddzielnych comiesięcznych numerów pisma w latach 1876—1877, kiedy to *Dziennik pisarza* ukazywał się najbardziej regularnie i systematycznie.

Dziennik pisarza był swoistym miesięcznikiem społeczno-polityczno-literackim, w którym wszystkie materiały wychodziły spod pióra jednego autora — Fiodora Dostojewskiego. To właśnie sprawia, że jest to dzieło

tak jedyne w swoim rodzaju, jak trudne w ocenie całościowej i w zaklasyfikowaniu do jakiejś określonej „szufladki” teoretyka literatury.

Jest *Dziennik pisarza* lekturą trudną, chwilami może nawet irytującą, wymagającą sporej wiedzy historycznej, politycznej i literackiej, zawierającą zbyt wiele rozważań o sprawach dawno przebrzmiałych. Ale dla miłośników Dostojewskiego (a tych nie brak w żadnym cywilizowanym kraju) jest to lektura wielce zajmująca, pozwala bowiem wejrzeć głębiej w tajniki jego warsztatu literackiego, stanowi niekiedy niezastąpiony komentarz do jego twórczości belewistycznej.

W *Dzienniku pisarza* przeważa materia publicystyczna. Ale zostały tu też wplecione zupełnie autonomiznie arcydzieła prozy artystycznej, jak drobne opowiadania: *Bobok*, *Chłopczyk na Gwiazdce* u Pana Jezusa, *Chłop Mareusz*, *Stuletnia* i przede wszystkim głośna nowela psychologiczna pt. *Potulna*. Utwory te powstały niekiedy na marginesie rozważań pisarza na różne tematy (*Chłop Mareusz* wiąże się z rozmyślaniami autora o charakterze ludu rosyjskiego, *Potulna* z informacjami prasowymi o fali samobójstw); są one — by rzec w dużym uproszczeniu — jakby artystyczną ilustracją omawianych w publicystyce problemów. *Dziennik pisarza* tłumac-

czy więc genezę tych utworów i — co więcej — pozwala lepiej zrozumieć poszczególne obrazy i wątki zawarte w innych dziełach Dostojewskiego.

Dużo miejsca autor *Dziennika pisarza* poświęcił zagadnieniom estetyki i wypowiedziom o innych literatach, zwłaszcza o Niekrasowie, Czernyszewskim, Lwie Tołstoj, Turgieniewie, George Sand i innych. Z największym polemicznym temperamentem poruszał jednak Dostojewski pasjonujące go kwestie wiary i etyki. Na ich tle snuł długie rozważania na temat prawosławia i katolicyzmu rzymskiego, religii i ateizmu, dobra i zła, wypowiadał tu w imię expressis verbis to, co zawsze tak natrętnie i boleśnie dręczył serca i umysły bohaterów jego wielkich powieści.

Może najmniej ciekawe dla dzisiejszego czytelnika są wypowiedzi Dostojewskiego w sprawach ówczesnych wydarzeń międzynarodowych — takich jak polityka Bismarcka, Francji, Watykanu, kwestia bałkańska, polityka Rosji wobec Turcji i narodów słowiańskich (są tu także interesujące odniesienia do tzw. kwestii polskiej w październikowym zeszycie *Dziennika* z roku 1877). Obszernie wyłożył też pisarz swoje poglądy na temat politycznej i religijnej misji carskiej Rosji w Europie i świecie.

Zagadnienia społeczne i moralne nurtujące ówczesne społeczeństwo rosyjskie pozostawały stałe w polu widzenia Dostojewskiego. W *Dzienniku* pisarza wypowiadał się więc bardzo kontrowersyjnie w kwestii żydowskiej, emancypacji kobiet, o piadze przestępczości nieletnich, samobójstwach, o losie i wychowaniu dzieci i młodzieży, wymiarze sprawiedliwości i innych aktualnych sprawach.

Wydawać by się mogło, że były to zagadnienia odległe od literatury. Jednak nie w przypadku Dostojewskiego, który tak obszernie i żarliwie wypowiadał się na ich temat w publicystyce. Przenikały one na karty jako powieści, w których Dostojewski — pisarz dopełniał w wizji artystycznej Dostojewskiego — publicystę. Beletrystyka najwyższej klasy (*Potulna*, *Chłop Mareusz*) i publicystyka spłoty się w *Dzienniku pisarza* w niepodzielnie całość. Dzieło to w całej wyrazistości odsłania może nieco inne, mniej znane oblicze Dostojewskiego jako pisarza, publicysty, moralisty i natchnionego proroka. Zawierająca wciąż tyle zagadek i do końca niezgłębiona spuścizna literacka autora *Zbrodni i kary* staje się o wiele bliższa i dostępniejsza po przeczytaniu chociażby tylko niektórych zeszytów jego *Dziennika pisarza*.

1. Fiodor Dostojewski, *Dziennik pisarza*, t. I—III. Przełożyła Maria Lesniowska, redakcja naukowa i wstęp Ryszard Łuźny PIW, Warszawa 1982, nakład 10 000+300, cena 650 zł.
2. To ostatnie zagadnienie omawia praca: Ludwika Jazukiewicz-Osiekłowska, Fiodor Dostojewski w twórczości Stanisława Brzozowskiego i Stefana Żeromskiego, PWN, Warszawa 1980.

WE WRZESNIU byli w Lublinie orientaliści z Krakowa, Katowic, Cieszyńska, Poznania, Olsztyna i Warszawy. Przyjechali w sprawie współczesnej recepcji myśli Wschodu. Powiało nieprawdopodobieństwem nie tylko dlatego, że trudno uwierzyć w istnienie nieśmiertelnego człowieka Babaji, z którym zaprzyjaźnił się twórca amerykańskiej jogi oddechowej, gość seminarium — Leonard Orr. Równie nieprawdopodobne wydawało się przeorientowanie myślenia nastawionego na sukces rozum, do którego ludzie Zachodu przywiązują się od urodzenia. Ponieważ na seminarium przyjechali „wascy specjaliści”, prawdę powiedziawszy laik męczył się z nimi okropnie, bo nie ratował go ani rozum, ani intuicja, był natomiast ostro atakowany sanskrytem i innymi specjalnościami Wschodu. Ostatnim drgnieniem zachodniego mózgu zastanawiał się jednak: czy moda na orient to ucieczka od problemów otaczającego świata, czy poszukiwanie wartości, które wzbogacą życie w cywilizacji zachodniej i stąd owe zainteresowanie orientálną filozofią życia oraz nowymi tendencjami w psychologii, psychoterapii i leczeniu.

Przeciwstawianie człowieka Zachodu człowiekowi Wschodu — jakie dokonywało się podczas seminarium — jeżeli nie prowokowało do wyboru nowej drogi życia, przynajmniej skłaniało do refleksji.

Jak to jest z tą naszą pewnością siebie, że wiemy, co jest dobre, korzystne i niezastąpione? Dlaczego nie nawidzimy rzeczy, które mogłyby nas przerastać, a myśli wykraczające poza ramy rozumu budzą nasz lęk? Brak nam umiejętności przekraczania sztywnych, zewnętrznych norm i konwencji społecznych — chyba fakt. Czy zastanawiamy się, że w łapczywej pogoni za dużymi i małymi zyskami nie towarzyszy nam wiara i pokora w postępowaniu? Tekst ten może forsować chwilami tezy zbyt ryzykowne i nieprawdopodobne, ale żeby mogły potwierdzić się kiedyś słowa poznańskiego religioznawcy Jacka Kryga, że „w historii myśli ludzkiej najwocześniejsze dokonania rodzą się na przecięciu dwu nurtów myślowych” — zafundujmy sobie trochę rozeznanie i tolerancji.

Podstawową przyczyną uznania myśli Wschodu za tajemniczą — jak mówił Jacek Kryg w wykładzie inauguracyjnym — jest inny stosunek do wiedzy. Nie czujemy czegoś, jeżeli nie potrafimy przedstawić tego za pomocą słów. Jest to wiedza umowna, wymagająca respektowania znaków ujętych w system, które przeważnie trzeba znać. To konwencja decydująca, co jest czym, np. że podest raz może być stołem, raz sceną, a raz podestem. Wszystkim zajmujemy się w ramach języka i jego barier nigdy nie potrafimy przekroczyć. Język określa nasz sposób myślenia. Żyjemy życiem umownym, nie mając czasu na życie prawdziwe. Intuicyjnie czujemy, że dzieje nam ucieki, bo byliśmy bardzo zabiegani, ale rano wstawamy i znowu żyjemy w tej samej konwencji. Tłumacząc Kartezjusza na język Wschodu, należałoby powiedzieć: „myślę, więc mnie nie ma. Myśląc realizuję konwencję, fałsz wobec prawdy absolutnej. Jeżeli jestem fałszem, umarłem. Żyję — kiedy medytuję, samorealizuję siebie, mam w miarę pustą umysł.

Stąd wziął się na Wschodzie podział na ludzi wiedzy i ludzi mądrych, którzy, np. gdy mają poznać sens i istotę morza — stają się oceanem, w przeciwnieństwie do ludzi wiedzy — wapiących, by mogli wypić ocean jednym haustem i wobec tego ograniczających się do zacerpnięcia jednego kubka. Ludzie wiedzy potrzebują mieć choć jedną kategorię związaną z rozumem, nie chcą i nie potrafią wierzyć w coś, czego nie widzą. Dla ludzi Wschodu natomiast rozum stanowi tylko narzędzie. Rozum jest skończony, nieskończona jest świadomość. Ludzie Zachodu nie lubią dogmatów, posługując się nimi; myślenie Wschodu ma tylko jeden dogmat: jestem po to,

rzekał się majątku i rezygnował z aspiracji, którymi żył do tej pory. Niektórzy uciekali, ale niektórzy tak oddawali się idei Auroville, że nie mieli własnego zdania, czy mają myśleć lub ile mają jeść. W Auroville praktycznie rządziła Matka, Francuzka która w 1920 roku wiedzioną snem proroczym odnalazła tam Sri Aurchindo, twórcę jogi integralnej. Był to wychowany i wykształcony w duchu angielskim Hindus. Oboje z Matką rozpozнали w sobie nawzajem guru. On zajmował się idea, ona jej praktyczną realizacją. Dział oboje, jak mówił Jacek Kryg — „odeszli”, ale w Auroville pozostało ponad pięćset pełnoprawnych aurovillian, którzy nadal

Winnicka — żeby mieć przebiecia do świata wiedzy, czy opierać się tylko na samej wierze? Nie pierwszy to dylenat z tego pogranicza. Janusz Malinowski, który przed paroma laty był w Lublinie nauczycielem medytacji transcendentalnej, a następnie oddał się praktykom duchowym Wschodu, spointował ten problem tak: „Najważniejszy jest poziom świadomości. Od pewnego punktu jesteśmy porywani, czy chcemy, czy nie chcemy”. Oczywiście należy rozróżnić rozwój świadomości w kierunku samadhi (oświecenia) od rozwoju świadomości na poziomie utylitarnym.

Orientálnym inspiracjom w psychoterapii poświęcił cały wykład Tadeusz

Ucieczka w orient

Anna Bocian

żeby wznieść się do pełnego rozwoju swojej świadomości.

Wszystkie rozważania Wschodu nie pozostają obojętne na sprawy etyczne. Doceniana jest wprawdzie ciekawość naukowa, ale również oczywista jest tęsknota za wyższym życiem świadomości i opanowaniem własnej natury. Przeciwny człowiek wychowany w kręgu kultury Zachodu akurat tym wszystkim przejmując się najmniej i śmieje go również udeptywanie miejsca dla myśli mistycznej, symbolicznej, intuicyjnej. Tymczasem tak się składa, że u schyłku wieku ten konsekwentny i racjonalny człowiek — bywa — zaczyna wątpić w swój model życia. W Lublinie już po raz trzeci Studenckie Koło Orientalistyczne zaprosiło zainteresowanych, tym razem proponując pod rozwagę temat: czy jest możliwe zbudowanie człowieka z najlepszych inspiracji Wschodu i Zachodu?

Dr Gerard Gluchowski, który mówił o jodze integralnej, podkreślał, że uprawiający ją człowiek musi wznieść się poza intelekt (rozum jest tylko komputerem i ten komputer trzeba wyciszyć), aby mogła narodzić się w nim dusza harmonijna i dążąca do absolutu. Praktyczny wymiar tej filozofii można odnaleźć w miejscowości Auroville, w pobliżu Madrasu na południu Indii, w mieście pozostającym pod patronatem UNESCO. Kilku uczestników seminarium będących w Auroville twierdziło, że istnieje możliwość życia boskiego na ziemi (metodami rozwijania się), właśnie w Auroville. Zdaniem Jacka Kryga — największym szokiem w Auroville było to, że nie się tam nie działo. „Czas został pokonany, wyrzucony zegary, człowiek nie wiedział, ile pračuje”. W Auroville odczuwało się radość z ulubionej pracy, człowiek wsłuchiwał się w boską świadomość i doświadczał nieprzemijającej młodości. Zanim jednak do tego doszło, musiał zdławić swoje ego, i złamać wolność w pojęciu europejskim — dla wolności, do której nie dotrze żadna ingenercja. Dlatego po przyjeździe do Auroville każdy wy-

budują miasto, i pewnego dnia przybysz będzie mógł medytować w świątyni Matri-Mandi, wzniesionej z białego marmuru, wyłożonej białym dywanem, wspartej na kryształowym słupie rozszczepiającym światło.

Z punktu widzenia współczesnego człowieka, zagonionego między kolejkami, trolejbusami i zobowiązaniami, filozofia Wschodu proponuje niewyobrażalną zmianę myślenia. Teoretycznie istnieje możliwość, że człowiek weźmie to, co dobre z Indii i to, co dobre z Zachodu, ale praktycznie popularyzator tej idei napotyka na nieprawdopodobne trudności. Gość seminarium — Lucyna Winnicka, propagatorka Akademii Życia, budowanej na najlepszych i najpraktyczniejszych myślach Wschodu, opowiadała o zabawnych rozmowach prowadzonych w ministerstwie zdrowia w sprawie urzędowego usankcjonowania niektórych metod leczenia. Po pierwsze — nikt nie chciał się z nimi bezpośrednio zapoznać. Metody lecznicze, których ciągle nie wolno w Polsce nazwać metodami leczniczymi, traktuje się jako konkurencję albo ignorancję. Tymczasem na Zachodzie...

Lucyna Winnicka, zainteresowana medycyną alternatywną, odwiedziła koło Bazylei w Szwajcarii ośrodek medycyny antropozoficznej. Nietrudno przewidzieć, że była to luksusowa klinika, bardziej przypominająca pensjonat niż szpital, stosująca symbiozę metod terapeutycznych Wschodu i Zachodu. Poprzez pogłębienie psychiki, posługiwanie się muzyką, tańcem, malarstwem, miłością — pomagano tam żyć i umierać ludziom chorym na raka. Zdaniem Lucyny Winnickiej — efekty były oszałamiające i prawie tak samo dla nas odległe, jak panowanie nad stresami poprzez jogę oddechową czy terapie naturalne. Chociaż... kosmonauci radzeczy, amerykańscy zresztą też, stosują medytację transcendentalną na stresy i nerwice lękowe. Dobroczynny wpływ medytacji transcendentalnej na twórczość potwierdzono badaniami naukowymi. Czy robić te badania — zastanawiała się Lucyna

Doktor, rozumiejąc psychoterapię jako leczenie duszy przy pomocy psychofizycznych narzędzi, ułatwiających również rozwój człowieka. Mało kto wie, jak wielką rolę odegrała joga w psychoterapeutycznym systemie K. G. Junga. Zwracał on uwagę na zakorzenienie jogi w praktykach religijnych i traktował Boga jako fakt empiryczny, ponieważ pojawia się w psychice. Jest to o tyle ważne, że w europejskich adaptacjach jogi element praktyki oddania się Bogu przestaje występować, mimo że religijne zakorzenienie funkcjonuje jako mechanizm zabezpieczający przed wypaczeniami, jakie może spowodować „wylew podświadomości”. Medytujący może ten „wylew” wytrzymać, tylko jeżeli ma silną psychikę. Zajmowanie się jogą bez przygotowania etycznego-moralnego bywa balansowaniem na ostrzu brzozy.

Tak dojrnelśmy do spotkania z Jackiem Santorskim z warszawskiego Laboratorium Psycho-edukacji, które zajmuje się zmniejszaniem cierpienia do niezbędnego minimum. Trudno w to uwierzyć, ale trafiali do laboratorium nie tylko ludzie z poczuciem braku sensu w życiu, brakiem świadomości siebie i wiedzy o sobie, ale także ci, którzy „rozbili się” w jodze. Dlatego psychoterapeuci w laboratorium świadomie odeszli od służby zdrowia, a wspierając się bioenergetyką, medytacją i innymi terapiami zaczerpniętymi ze Wschodu, zaczęli szukać nowych dróg pomocy. Te orientalne inspiracje w psychoterapii należałoby uznać za pierwszą płaszczyznę, z której może czerpać korzyści człowiek pogranicza. Zetknięcie się potrzeb Zachodu ze Wschodnimi inspiracjami nie bez przyczyny następuje w sytuacji zagrożenia zdrowia, a czasem życia. W tych okolicznościach człowiek Zachodu zaczyna najczęściej odstępować od dotychczasowego myślenia, ale również często nie chce sobie zadać jednak trudu, żeby dotrzeć do istotnej przyczyny chorób, jaką jest stosunek do życia i świata.

Nietypowa szkoła ?

WSZYSZY (13) nauczyciele tej szkoły posiadają wyższe wykształcenie, gdy tymczasem w wielu innych podobnych placówkach cenzus kadry dydaktycznej jest, mówiąc ogólnie, bardzo zróżnicowany.

W szkole działa koło ZSMP liczące ponad 80 uczniów, którzy swej aktywności nie wyczerpują podczas zebrań, lecz wykonują konkretne prace na rzecz lokalnego środowiska społecznego, a nawet sprawują patronat nad przedszkolem nr 41 w Lublinie. Interesujące, że koło powstało wówczas, gdy w wielu szkołach ZSMP popadł w głęboki kryzys.

Uczniowie tej szkoły sami, pod okiem instruktorów, wykonali okazałe pomoce dydaktyczne, które śmiało można wycenić na ponad 600 tys. zł. W szkole istnieją kółka zainteresowań: matematyczne, polonistyczne i sportowe. Niedawno powstała sekcja kartingowa zdobyła w 1983 r.

wysokie miejsce na ogólnopolskich zawodach młodzieżowych w tej dyscyplinie.

Bieszczady, Tatry i Beskidy, Kieleccyzna i Roztocze, muzea i wielkie fabryki (np. warszawska FSO) — oto niektóre trasy, jakimi przeszły wycieczki uczniów tej szkoły, którą opuściło dotąd ponad 1100 absolwentów.

Najwięcej przy tym daje do myślenia fakt, że wyjątkowo dynamicznie placówka ta rozwija się od dwóch lat, a więc od momentu, który niejedną z zawziętych rodaków chciałby utożsamić z początkiem upadku polskiej kultury i nauki.

W ogóle jest to instytucja niezwykła. Zaczynała w 1963 r. jako Zasadnicza Szkoła Zawodowa dla pracujących, należąca do Woj. Zrzeszenia Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej, a od roku 1967, już na stałe, do lubelskiego MPK. Zaczynała w Łęcznej, potem wędrowała przez różne, w większości niewielkie, miejscowości Lubelszczyzny, by w końcu, ponad rok temu, zainstalować się w Jastkowie, gdzie znalazła najlepsze z dotychczasowych warunki do pracy (nie znaczy to, że idealne). Wędrując — rozwijała się przecież

strukturalnie, wzbogacając się z czasem o Średnie Studium Zawodowe (1976) i Technikum Samochodowe dla pracujących (1983), aby zyskać ostatnio nazwę i status Zespołu Szkół Samochodowych Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego, które zresztą realnie troszczy się (nie takie to znów częste w innych pionach gospodarki!) o własną placówkę, przygotowującą pracowników dla MPK.

13 października szkoła obchodziła 20-lecie istnienia. Podczas akademii z udziałem I sekretarza KW PZPR Wiesława Skrzydło przekazano ZSS sztandar ufundowany przez MPK. Poza tym Złotym Krzyżem Zasługi udekorowano Leona Dolinę, Zygmunta Wrońskiego i Zbigniewa Wszółka, Srebrnym — Maryle Mroczkowską, odznakami Zasłużony dla Lubelszczyzny — Helenę Bujak i Romaną Wolczyką, a odznaką Zasłużony dla Lublina — Bożennę Kędziarską, Jakubą Krawczyką, Ewę Zielińską oraz dyrektora Adoifa Gliła, który kierować szkołą zaczął właśnie na początku 1982 roku.

Ad multos annos!

Madrość Bairda

Mieczysława Demska-Trębaczowa

LACZY mnie chyba z Szymanowskim pokrewieństwo zbliżone (toutes proportions gardées) artystycznej ideologii oraz świadomości, że jest on nie tylko największym polskim kompozytorem XX wieku ale także jedynym na którego dziś jeszcze, mimo całej odmienności obecnego okresu rozwoju muzyki, można się idealowo, w sensie postawy artystycznej, powołać. Szymanowski po Chopinie jest jedynym tego formatu ogniwem łańcucha tradycji narodowej w naszej muzyce — tymi słowami określa swój rodowód ideowo-artystyczny, zmarły przeszło dwa lata temu kompozytor, Tadeusz Baird. Wybitny artysta jak mało kto wśród współczesnych twórców, był mocno osadzony w tradycji, zaangażowany i uwrażliwiony na to wszystko, co z życiem narodu — nie tylko tu i teraz, ale wszędzie i zawsze — pozostaje w związku. Głębokie są jego refleksje na ten temat. Przebiega z nich mądrość człowieka i dojrzałość artysty, który wcześniej pojął złożoność mechanizmu dzieł narodowej kultury i wylegitymował się wrażliwością wobec polskiej tradycji.

Można sądzić że społeczne okoliczności debiutu kompozytorskiego oraz szczególna wrażliwość Bairda na problematykę moralno-polityczną zdeteminowały kształt ideowo-artystyczny jego refleksji nad samym sobą, nad kondycją artysty, nad przeszłością i przyszłością sztuki.

Kompozytor urodził się 26 lipca 1928 r. w Grodzisku Mazowieckim. Lata okupacji spędził w Warszawie. Dramatyczne wydarzenia powstaniowe rzuciły Bairda do obozu hitlerowskiego na terenach Niemiec, skąd wrócił do kraju wkrótce po zakończeniu wojny. Edukację kompozytorską rozpoczął w czasie okupacji (u Bolesława Woytowicza i Kazimierza Sikorskiego), a kontynuował ją w latach 1947-1951 w warszawskiej PWSM (u Piotra Ryty i Piotra Perkowskiego). Równolegle studiował muzykologię na Uniwersytecie Warszawskim. Zmarł w wieku 53 lat, 2 września 1981 r., w pełni sił twórczych.

Zamknięta w 32-leciu działalność muzyczna Bairda przypada na czasy Polski Ludowej i jest związana z przemianami w łonie naszej współczesnej kultury. Faza wczesnej twórczości kompozytorskiej (lata 1949-53) — to okres dyskusji nad kształtem nowej muzyki polskiej. Dwudziestoletni muzyk, wraz z niewiele starszymi kolegami, utworzył tzw. „Grupę 49” na sławnym zjeździe w Łagowie Lubuskim. Przyświecał im jeden cel: uprawianie muzyki komunikatywnej, emocjonalnej i nierzeczywistej ze współczesnych środków wyrazu artystycznego. Swoistą cezurę w twórczości stanowią lata 1953-56, kiedy Tadeusz Baird — w okresie nasilenia socrealizmu — zamknął jako kompozytor. Po czym przyszły lata pełnego rozwoju twórczego; okres, którym powstały najświetniejsze dzieła Bairda: 4 Eseje (1958), Erotyki (1961), Wariacje bez tematu (1963), Concerto lugubre na altówkę (1975), wreszcie ostatni, krótko przed śmiercią ukończony utwór — Głosy z oddali (1981). Twórczość Bairda z wczesnego i późniejszego okresu doczekała się ogólniejszych charakterystyk. Wskazywano na więź jej z literaturą. Zauważano nasycenie ba-

irdowskiej muzyki pierwiastkiem romanizmu, emocjonalizmem, a przy tym — pietyzmem dla spraw *métier* kompozytorskiego.

Obok diagnoz po prostu charakteryzujących warsztat twórczy Bairda były i zastrzeżenia. Kompozytora określano mianem „tradycjonalisty”. W istocie — muzyka z różnych okresów twórczości kompozytora jest trwale zakotwiczona w tradycji. Artysta miał dogłębnie przemyślane sprawy stosunku do dziedzictwa kulturowego; był w pełni świadomy, iż innym być nie potrafił i nawet w okresie mody na awangardę, w czasach niewrażliwości na tradycję pozostał sobie wierny. Każda, obojętnie: jednostkowa czy społeczna próba oderwania się od tradycji, naturalnie również artystycznej — wyjaśniał — jest z góry skazana na niepowodzenie [...], jest tylko złudzeniem wywołanym przez brak dostatecznej czasowej perspektywy. Znajomość i szacunek dla tradycji, talent, niepokój intelektualny i artystyczny, uczciwość — to komponenty, które w sztuce — według kompozytora — mogą stanowić rekojmię prawdziwego postępu. Skuteczność artystycznych działań wobec odbiorcy redukuje natomiast efektywizm, konfunkturalizm szablonowość, szokowanie i epatowanie rzekomą awangardowością. O wiele trudniej — konstatuje Baird — jest interesować i przekonywać, skłaniać do myślenia i wzruszać. I taką sztukę: ambitną i indywidualną, głęboką i humanitarną pozostawił po sobie.

Autorefleksje Tadeusza Bairda nad źródłem obranej drogi i wzorów artystycznych są przekonujące. Kompozytor wie doskonale, na czym polega doniosłość odkryć dokonanych przez Szymanowskiego i jego pokolenie artystów: na dotarciu do istoty polskości w sztuce w głębszym tego słowa rozumieniu. O fenomen „polskości” wyróżnia: spójność i emocjonalizm, otwartość na przepływ i inspirujące oddziaływanie nowych idei artystycznych, prymat treści nad — skądinąd kunsztowną — formą, poszukiwanie drogi w przyszłość w świadomym oparciu na tradycji, tendencja romantyczna wreszcie, najbardziej dla sztuki polskiej typowa. I z tych właśnie względów Szymanowskiego uważał Baird za swego duchowego ojca. W istocie, tych artystów łączą pokrewieństwo, pomimo dystansu czasowego, jaki dzielili ich generacje. W warstwie warsztatowej związek Bairda i Szymanowskiego zaznacza się w owej trosce o doskonałość *métier* artystycznego. Dalekie refleksy muzyki autora *Harnasiów* odzyskać można w niektórych utworach Bairda, np. w *Ekspresjach* na skrzypce i orkiestrę czy w *Kwartecie smyczkowym*. Rzecz znamienita, nie wzbudzały specjalnego zachwytu kompozytora te utwory Szymanowskiego, które były inspirowane przez folklor. Wiele razy podkreślał, iż drugi okres twórczości Szymanowskiego jest może bardziej „polski” niż późniejszy tzw. „narodowy”. Można wskazać na wiele cech wspólnych u obu artystów, obecnych choćby w sferze zainteresowań literackich, plastycznych, czy wreszcie problematyką stylu narodowego, tradycji narodowej, specyfiki kultury polskiej.

Twórcza Jutra pogłębia jeszcze refleksję nad życiodajnymi złożami i korzeniami polskiej tradycji. Trafna jest diagnoza specyfiki kultury polskiej — kultury „pogranicza”, którą ukształtowa-

ła historia i położenie geograficzne. Polska — eksplikuje Baird — była zawsze krajem tolerancyjnie otwartym na filozoficzne i artystyczne idee i wpływy Zachodu i Wschodu, a jej sztuka umiała zarazem z zadziwiająco asymilacyjną siłą przyswoić je sobie przesycając odrębną treścią, wykorzystując dla własnych celów. Dlatego zapewne sztuka polska miała zawsze przynajmniej intencjonalnie [...], charakter zarazem narodowy jak i uniwersalny. Dla kompozytora typ „sztuki pogranicza” reprezentują tak wybitni twórcy naszej kultury, jak Mickiewicz, Słowacki, Chopin, Moniuszko, Przybyszewski, Iwaszkiewicz, Szymanowski. Nasze położenie na ułamek Europy umożliwiło — zdaniem Bairda — przepływ i przenikanie różnorodnych tradycji, sposobów bycia, idei oraz informacji. Dawało to zdarzenia i konflikty, przewartościowanie różnych wartości, wzajemne serc i umysłów — a w efekcie złożyło się na fenomen „polskości”.

Te refleksje artysty nad kształtem polskości ujmowane są w poetyce, która ma romantyczny rodowód: poważny ton, zatroskanie o teraźniejszość sztuki, głęboki namysł nad jej przyszłym statusem. Wizja przyszłości naszej w sztuce bairdowskiej formuje się na płaszczyźnie dialogu pomiędzy dawnością a nowoczesnością. Terazniejszość i przyszłość osadzone są w przeszłość, niejako przeszłością zdeterminowane. Z działalnością twórczą w dziedzinie muzyki kojarzy się kompozytorowi kontynuacja, a nie burzenie starego porządku. Czas najnowszy — mówi artysta — był po dziesięcioleciach dezintegracji, prowadzonych często na oślep i na siłę eksperymentów po próbach zastąpienia grą przypadku świadomego poszukiwania sensu i formy [...], żeby więc po tym wszystkim nadszedł czas zamierzonego poszukiwania nowego ładu by stosunki między treścią a środkami warsztatowymi zaczęły znów odzyskiwać właściwe proporcje, by muzyka znów zaczęła dawać ludziom coś wielkiego i ważnego.

Filozoficzne refleksje Bairda o przyszłości towarzyszą rozważaniom nad rolą następnego pokolenia artystów w łańcuchu dzieł sztuki. Przewidując, iż muzyka stanie się obszarem, gdzie człowiek znajduje azyl, ucieczkę w zamknięty, może sztuczny, może wymyślony, ale piękny świat, kompozytor widzi pilną potrzebę odpowiedniego przygotowania adeptów twórczości do ich profesji. Właściwą filozofię muzyki uzupełnia artysta wskazówkami z zakresu pedagogiki, które stanowią niejako podsumowanie doświadczeń dydaktycznych i kontaktów Bairda z młodzieżą (w latach 1976-81 prowadził klasę kompozycji w warszawskiej Akademii Muzycznej im. Fr. Chopina). Kompozytor kreślił wizerunek twórczego artysty, który powinien być czynnikiem w rozwoju dawnego wszechstronnego humanisty. Uprawiającemu zawód artystyczny należy zatem stawiać szczególne wymagania. Musi on łączyć w sobie do perfekcji doprowadzone opanowanie umiejętności „rzemieślniczych” z poważnie traktowaną wiedzą ogólną. Zdaniem Bairda na intelektualne „wypozażenie” artysty każdej specjalności winny się złożyć: ogólna orientacja w sprawach kultury i sztuki tak dawnej, jak i nowoczesnej, głębokie i wszechstronne wykształcenie, także pozartystyczne, znajomość współczesnych tendencji i ich historii, zainteresowanie dla zachodzących w świecie przemian. Tylko muzyk o tak specyficznej osobowości będzie w stanie sprostać oczekiwaniom teraźniejszości i przyszłości. Obecnie nie można bowiem liczyć, że sam talent (choćby największy) i intuicja podpowiedzą twórcy właściwą i własną drogę.

W rozumieniu Tadeusza Bairda nowoczesna muzyka rodzi się z opozycji, z łączenia tradycji z nowatorstwem, z wiązania dawnych struktur z racjonalnymi postulatami dojrzanego kroku współczesnemu światu. Wszak nowoczesność powinna być korygowana refleksją nad korzeniami naszej tradycji... Takie są zasady poetyki Bairda, kompozytora-humanisty, reprezentanta pokolenia współczesności, który zadaje sobie pytanie nie tylko o tradycję, ale i o uniwersalia. Ale ten krąg zagadnień wymaga osobnych rozważań.

Kajet literacki

Podobieństwo książek i ludzi

Janusz Oleczak

TEGO samego dnia wypożyczyłem dwie nowości beletrystyczne — i może właśnie dlatego powieści te wydały mi się podobne do siebie. Prawda to od wieków znana, że książki, tak jak ludzie współcześni sobie, upodobniają się do siebie. W końcu dla następnego pokolenia stajemy się jakby generacją bliźniaków. Ale to już zupełnie inna sprawa.

Narrator powieści Kazimierza Brandysa „Rondo” w czasie okupacji zakłada fikcyjną organizację konspiracyjną pod krytonimem właśnie „Rondo”. Angażuje on swoją koханkę, kolegę, dwóch młodych poetów i w ten sposób odciąga ich od prawdziwej kon-

spiracji. Wydaje mu się poza tym, że ratuje im życie. Sam się natomiast nie oszczędza i działa w realnym podziemiu.

Jest więc to w gruncie rzeczy powieść lotrzykowska, napisana jednak językiem uczonym, refleksyjnym, na serio. Refleksje te i uwagi są miejscami znakomite, choć kłóca się trochę z charakterem narratora robionego nieco na prostaczka.

Narrator jest zaledwie statystą teatralnym, ale opisuje wielkich mistrzów sceny. Mało jeszcze tego, nasz bohater uchodzi za niesłubnego syna samego Piłsudskiego. Wszystko to nadaje się do burleski, tymczasem powieść

konsekwentnie utrzymana jest w stylu wysokim, co rozbija ten utwór, roznosi go, burzy ład konstrukcyjny.

W „Rondzie” jednym z bohaterów jest wielki aktor grający w teatrach niemieckich Ginie on z wyroku podziemia. Historia ta zbyt dosłownie przypomina autentyczną, tragiczną postać naszego wybitnego aktora.

Podobnie jest w powieści Andrzeja Brauna „Rzeczpospolita chwilkowa”. Tu dla odmiany mamy pisarza przypominającego Witkiewicza, który też w zbliżonych okolicznościach popełnia samobójstwo. W obydwu powieściach stosuje się więc identyczny zabieg, niezbyt szczęśliwy — beletrystowanie autentycznych biografii wielkich, a więc już dostatecznie zmitologizowanych, ludzi.

Utwór Brauna nie ma nic wspólnego z konwencją powieści lotrzykowskiej. Jest jednak inna konwencja. Autor stylizuje swą powieść na kronikę historyczną, w tym celu wprowadza nawet postać lokalnego kronikarza, wiejskiego nauczyciela, niezłomnego, sympatycznego poczciwca.

Dialogi, sytuacje i charakterystyki brzmią zbyt podręcznikowo. Widać że autorzy na te tematy przeczytali wiele książek i artykułów. Nie może zresztą być inaczej. Pracowita, wypolerowana koncepcja powieści sprawia, że są to romanse historyczne, a nie żywe i współczesne beletrysta powinien starannie ukrywać ten papierowy szelak.

Autorzy mieli cele podobne, zamierzali stworzyć syntetyczny obraz czasów okupacji. W jakiejś mierze zamiar ten spełnili, lecz niezupełnie. Zarówno jedna jak i druga powieść jest tworem zbyt papierowym, wydumanym, przedumanym. Autorzy wykazali swoją dużą klasę pisarską, ale mistrzostwa nie osiągnęli. I to jest mój zarzut generalny. Są to niezłe książki, ale od takich pisarzy oczekuje się powieści porywających, wspaniałych, no bo w końcu kto je wreszcie napisze?

Kazimierz Brandys „Rondo”. Czytelnik, Warszawa 1982, s. 372.
Andrzej Braun „Rzeczpospolita chwilkowa”. PIW, Warszawa 1982, s. 439.

Opowieści związkowe

PO 39 latach działalności, przestał 21 lipca br. istnieć Związek Polskich Artystów Plastyków. Anihilacji uległa organizacja potężna, licząca prawie 14 tys. członków, pod względem liczebności nie mająca konkurencji wśród innych stowarzyszeń twórczych. Fakt ten wzbudził pewne emocje w środowisku wczorajszych członków ZPAP, ale trudno powiedzieć, że były one ogniste. Autentycznie przejmowano się tylko sprawą dalszej egzystencji artystów w nowej sytuacji: niepokojącej, bo dotąd w Polsce nie znanej, a na dodatek zlokalizowanej, jak i całe nasze życie zbiorowe, na grząskim gruncie kryzysu gospodarczego, który zresztą już wcześniej dał się mocno we znaki plastynom. Ale i tego rodzaju niepokoję złagodziły, kiedy okazało się, że powołane 27 lipca Przedsiębiorstwo Użyteczności Publicznej „Sztuka Polska” nie jest jakimś reżimowym koniem trojańskim na owies ideologiczny, lecz instytucją realnej pomocy gospodarczej, zaopatrzeniowej i socjalno-bytowej dla artystów. Oczywiście, „Sztuka Polska” nie jest dziś w stanie rozwikłać wielu poważnych problemów bytowych i zawodowych środowiska, ale to już zupełnie inna sprawa, korzeniami sięgająca fundamentów obecnej sytuacji społeczno-gospodarczej kraju. Nikt przecież nie zaprzeczy, że mimo wszystko stanowi jakieś oparcie dla plastyków. Podobnie jak Państwowy Fundusz Zamówień Plastycznych czy setki stypendiów twórczych oraz zapomóg socjalnych, które rokrocznie rozdziela ma-

larzom i konceptualistom, grafikom „warsztatowym” i performerom, teoretykom sztuki i rzeźbiarzom Departament Plastyki MKiS. Warto przy tym wiedzieć, że takie stypendium twórcze wynosi 8000 zł na miesiąc, a przyznawane jest na pół roku, na rok lub na dwa lata. Wspomnijmy też, że Ministerstwo Kultury i Sztuki niemal w całości finansuje plenery plastyczne (100 mln zł w minionym roku), albowiem, jak wiadomo, całkowicie upadł mecenat związków zawodowych i zakładów pracy, obliczony kiedyś w sferze całej kultury na kilkanaście miliardów złotych rocznie. Najciekawsze przy tym, że takich plenerów w 1982 roku odbyło się więcej, niż w latach poprzednich, a tylko na jednym z nich doszło do czegoś w rodzaju kontestacji politycznej.

Nie ma ZPAP, ale są już nowe związki. Pierwszy z nich powstał jeszcze przed rozwiązaniem starego stowarzyszenia, jako że zjazd założycielski Związku Artystów Rzeźbiarzy odbył się 2 lipca. 12 września zarejestrowano Stowarzyszenie Polskich Artystów Grafików Projektantów, z wnioskiem o rejestrację wystąpił Związek Artystów „Polska Sztuka Użytkowa”, w trakcie organizacji znajduje się Związek Projektantów Sztuk Plastycznych oraz stowarzyszenie malarzy. Obserwuje się przy tym tendencję do nadania elitarnego charakteru nowym organizacjom, a więc coś zupełnie nowego w powojennych dziejach sztuki polskiej. Np. na zebranie założycielskie związku grafików przybyło bo-

daj 300 osób, ale zaszczyciło członkostwa dostąpiło tylko 50 artystów — legitymujących się poważnym dorobkiem twórczym. Kończą się czasy, w których goły dyplom uczelni artystycznej otwierał drogę do organizacji artystycznej. Nie jest to wszak i dziś dokument bezwartościowy, jako że nadal wiąże się z nim prawo do uprawiania zawodu plastyka — pod firmą, powiedzmy, „Sztuki Polskiej” czy PSP. Można też działać na własną rękę, zawierając np. umowy indywidualne z jakąkolwiek jednostką gospodarki państwowej czy spółdzielczej, która zechce płacić honorarium z funduszu osobowego.

Przytaczając te fakty nie mam zamiaru sugerować, że w środowisku plastycznym wszyscy stanęli do apelu, wyrófnali krok, by pod przewodem chłodnych racjonalizatorów zmieścić się jakoś w nowej sytuacji, dla dobra kultury polskiej zapominając o wzajemnych uprzedzeniach czy pretensjach pod adresem administracji. Tak dobrze nie jest, kontrowersje wokół spraw zawodowo-organizacyjnych i ideologicznych trwają wśród plastyków i trwać będą. Ale już teraz widać, że odbywa się to w innej tonacji, bardziej rzeczowej, a takie „msze żałobne”, jakie odprawiał niedawno ob. Andrzej Oseka w warszawskiej galerii „Forma”, w otoczeniu wianuszka koncelebransów, należą już do faktów egzotycznych, jeśli nie śmiesznych. Zresztą i w tym przypadku doszło do załamania scenariusza, jako że w ostatniej chwili jeden z kandydatów zaniemówił, choć był przecież na liście potencjalnych mówców.

Przytaczając różne fakty aktualne, mam natomiast na uwadze pewien wniosek: że rozwiązanie ZPAP wcale nie pogorszyło sytuacji bytowej i możliwości twórczych środowiska plastyków, a nowe formy organizacji życia artystycznego są bardziej funkcjonalne, albowiem przystają jakoś — tymczasem nie bez zgrzytów — do nowej struktury naszego życia społeczno-go-

spodarczego. Związek upadł, to prawda, ze względów politycznych, ale tendencje do podziału tego stowarzyszenia pojawiły się już kilkakrotnie w przeszłości — wtedy zazwyczaj, gdy w Polsce rysowały się możliwości swobodniejszej gry rynkowej i wzmożonego myślenia. Uważam więc, że nawet szczęśliwe opuszczenie przez ZPAP ringu zapasów politycznych nie uchroniłoby go prędzej czy później, przed rozczłonkowaniem na kilka stowarzyszeń. Zdecydowałoby o tym życie.

Pozwalam sobie przy okazji na przypomnienie, że już 15 lat temu publicznie wystąpiłem z propozycją podziału ZPAP, przynajmniej na dwa związki: twórczy i użytkowy.

Spoglądając na panoramę plastyczną kraju, najważniejszy wszak problem widzę w sferze ludzkiej świadomości. Otóż wydaje mi się, że artyści ciągle nie mogą pogodzić się z prawdą, że przyszło im oto żyć i pracować w rzeczywistości innej niż ta, która istniała w kraju przed sierpniem 1980 roku. W rzeczywistości, gdzie więcej na drodze do sukcesu zależy będzie od indywidualnych zdolności, energii i odwagi, niż od urzędowo-związkowych uprawnień do wykonywania zawodu plastyka. Jest to sytuacja paradoksalna, ponieważ wielu artystów było w pierwszej linii walki o samorządność, niezależność i zdrową konkurencję w tonie niemal wszystkich struktur życia zbiorowego. Naturalnie, do wartościowych zbliżamy się dopiero, nie bez kłopotów, ale przecież w sposób ostrzegalny. A co będzie, jeśli osiągniemy je w pełnym wymiarze? Przypuszczam, że w chwilach wolnych od ciężkiej pracy wsłuchiwać się będziemy w gawędę emerytów, wspominających piękne czasy „artystów dwóch i pół dnia”, czyli takich, którzy w latach siedemdziesiątych żyli cały rok dostatnio z honorariów za dekoracje z okazji 1 Maja, 22 Lipca i 7 Listopada.

IJK

POWRÓT GWIAZDY

PLYTY kanadyjskiej wokalistki Joni Mitchell, od dwudziestu jeden lat mieszkającej w Stanach Zjednoczonych, znają u nas jedynie nieliczni koneserzy, co nie oznacza, iż Joni jest postacią tuzinkową. Na amerykańskim rynku ma utrwaloną pozycję gwiazdy, imponującej ciekawą muzyką i inteligentnymi poetyckimi tekstami. Najnowszy jej album „Wild Things Run Fast” poprzedziło długie wahanie. Nie po raz pierwszy Joni nosiła się z zamiarem pożegnania rock and rolla i jazzu, by poświęcić się wyłącznie plótnom i pędzłom. Stoczyła nie lada walkę z samą sobą, zanim podpisała nowy, pięcioletni kontrakt płytowy. Mitchell ma dziś 40 lat i sporo chęci na powrót do nurtu pop...

Przez długie lata mówiono o niej „Dylan w spódnicy” i w twierdzeniu tym nie było cienia przesady. Bogata twórczość Mitchell wyróżniała ją z grona innych wokalistek amerykańskich. Komponowała, pisała wiersze, grała na kilku instrumentach i... malowała wspaniałe pejzaże.

Urodziła się w 1943 roku w Vancouver (Kanada). W wieku 19 lat opuściła rodzinę i wyjechała na Zachodnie Wybrzeże USA. W Kalifornii śpiewała z gitarą w gronie przyjaciół do momentu poznania Davida Crosby'ego, członka folk-rockowej supergrupy Crosby, Stills, Nash and Young. On zachęcił ją do zawodowego śpiewania i dopomógł w realizacji pierwszej płyty (1968). W dwa lata później wspomniana supergrupa wylansowała wielki przebój Mitchell „Woodstock”, będący reminiscencją niedawnego festiwalu muzyki rockowej.

Joni pasjonowała się poezją śpiewaną. Jej pierwsze piosenki cechowała wyjątkowa szczerść wypowiedzi. Przeważnie mówiła w nich w sposób subtelny, o czym myślą kobiety w swych pokojach późną nocą. Potem teksty stawały się coraz bogatsze, bardziej aluzyjne, choć słowa bardziej dosadne. Optyka muzyki folk, wybrana świadomie przez artystkę, nie ograniczała jej instrumentalizmu do gitary klasycznej. Z powodzeniem stosowała bogatą aranżację wykorzystującą rozbudowaną sekcję rytmiczną i instrumenty klawiszowe. Może właśnie dlatego jej płyty cieszyły się dużym powodzeniem, choć drżący, nieokreślony głos pasował raczej do kobiety w stanie rozpacz niż kandydatki na gwiazdę.

W 1974 roku Joni zaprosiła do realizacji płyty „Court and Spark” Toma Scotta z zespołem L. A. Express, rozpoczynając tym samym muzyczny flirt z jazzem. Trwał on sześć lat. W roku 1976, mając w swoim dorobku dwie „jazzowe” płyty

zrealizowane z grupą L. A. Express, postanowiła jeszcze bardziej zbliżyć się do muzyki synkopowanej. Wspólnie z Paulette McWilliams śpiewała na jazzowo-funkowej produkcji zaprzyjaźnionego Expressu — „Shadow Play”. Nawiązała też bliską współpracę z grupą Weather Report, a szczególnie z jej basistą Jaco Pastorimsem. W połowie 1978 roku muzyczny świat obiegła plotka, że Joni Mitchell przygotowuje płytę z Charlesem Mingusem, znakomitym kompozytorem i kontrabasistą jazzowym. Kiedy 5 stycznia następnego roku Mingus zmarł, wydawało się, że ten wspaniały pomysł pozostanie jedynie w sferze nigdy nie zrealizowanych planów. Stało się jednak inaczej. Firmowana nazwiskiem Joni, poświęcona Mingusowi płyta ukazała się. Trudna muzycznie, naszpikowana ciekawymi pomysłami (np. wkomponowanie dźwięków zarejestrowanych na przyjęciu urodzinowym wielkiego jazzmana) produkcja nie zdobyła jednak większego uznania wśród krytyków i publiczności, która pamiętała Mitchell z innych nagrań. Artystka mimowolnie znalazła się na muzycznym rozdrożu.

Powrócić do tego, co robiła dawniej, czy też kontynuować przygodę z jazzem? Wybrała pierwsze rozwiązanie. Czula wyraźną potrzebę akceptacji, pragnęła odzyskać dawną popularność, pozwalającą na dalsze zajmowanie się estradą. Po wielu doświadczeniach zrozumiała, że musi śpiewać takie piosenki, w których jej słuchacze mogliby odnaleźć siebie. Sięgnęła więc po muzykę Steely Dan, Police i po... paletę. Kursując pomiędzy swymi trzema domami (Malibu, Nowy Jork i Vancouver), zaczęła szukać sposobu na muzyczny „come back”. Jeden z nielicznych w tym okresie publicznych występów na Bread and Roses Festival w Berkeley przekonał ją, że ma jeszcze swoich wiernych słuchaczy. Wypełniona po brzegi sala niezwykle ciepło przyjęła przyjaciółkę Boba Dylana, Leonarda Cohena i Joan Baez — wielkich mistrzów ballady.

Pod koniec 1981 roku Mitchell przystąpiła do realizacji swojej najnowszej płyty „Wild Things Run Fast”. „Niektóre utwory nagrywaliśmy po cztery i więcej razy — wspomina Larry Klein, basista jej najnowszej grupy. — Joni obdarowana jest wyśmienitym instynktem, który pozwala jej wyczuć najlepsze brzmienie, najdoskonalej zaaranżowany numer, a przy tym jest szalenie dokładna i pracowita. Wymaga dużo od siebie i sidemanów”.

„Wild Things Run Fast” to płyta o miłości. Stowo to pada aż 57 razy. „Gdzieś tam w chińskiej kafejce marzyliśmy, bawiliśmy się w „oh my love, my darlings” — śpiewa Mitchell w piosence „Chinese Cafe”. „Z goryczą patrzę, jak ludzie wykorzystują miłość, ale wiem, że złodzieje dusz



Joni Mitchell
Repr.: Tadeusz Trószek

nie są w stanie wykraść nieba” — d d d d w utworze „Moon At the Window”. W „Let's Be Mon” Joni stwierdza: „Nie lubię kłamać, nie patrzę na ukochanego, myślę, czy mamy sobie jeszcze coś do powiedzenia”. Album zamyka stwierdzenie: „Miłość jest największą pięknością”. Banałne to, ale miłe, 40-letnia kobieta ma chyba prawo do tego rodzaju dyktowanych doświadczeniem wyznań. Album „Wild...” to swoista mieszanka muzyki pop i rock. Nie brak tu również odrobiny jazzu w głosie wokalistki i kapitalnym saksofonie sopranowym Wayne Shortera (z Weather Report). Płyta została wysoko oceniona przez fachowców. Dotychczasowe, najwyższej notowane w dorobku artystki longplaye „Blue” oraz „Court and Spark” z perspektywy najnowszego dysku określane są przez krytyków jako małe kroczki prowadzące do dużego skoku.

Joni Mitchell powróciła do muzyki środka. Pop w najlepszym wydaniu będzie odłąd dominować w jej kompozycjach. Czy ludzie zachwycą się nią jak dawniej? Joni nie ukrywa swych obaw, lecz ma nadzieję. Jeden z krytyków, recenzując aktualną muzykę Mitchell, napisał: — Płyta ta to „stuchanie przeszłości z nadzieją na przyszłość”. Jaka będzie ta przyszłość, pokaże czas. Mieliby nadzieję, że dowiemy się o tym również z anteny Polskiego Radia, instytucji traktującej zdecydowanie po macoszemu czołową wokalistkę współczesnej muzyki pop.

Istvan Grabowski
Artur Borkowski

Godność artysty

JANUSZ Kondratiuk zastrzega się w wywiadach udzielanych w związku z premierą swego najnowszego filmu „Klakier”, że z jego treści nie należy wyciągać zbyt pochopnych wniosków, doszukując się w przedstawionej fabule i postaciach jakichś realnych odpowiedników. „Moje opowiadanie — twierdzi reżyser — nie ma żadnego związku z wydarzeniami, jakie towarzyszyły inscenizacji [komedii Alejandro Casony „Drzewa umierają stojąc” — przyp. M. D.] w której swój triumf święciła Mieczysława Cwiklińska. Głównym bohaterem mogłem również dobrze uczynić dyrektora, szefa itp. Istotne jest pytanie, które sam sobie stawiam: poddać się zwątpieniu czy też konsekwentnie działać do końca, niejako na przekór wszelkim wątpliwościom”. Brzmi to bardzo ładnie i składnie. Ale jakoś... zbyt wyraźnie narzuca się w tym filmie porównanie z ostatnim, wielkim tournée teatralnym wiekowej, wybitnej polskiej aktorki i czynioną wówczas reklamą na temat żywotności Mieczysławy Cwiklińskiej, aby Kondratiuk nie liczył się z możliwością wytoczenia mu tuzina procesów o zniesławienie lub pomówienie. Przecież główna bohaterka „Klakiera” występuje w „teatralnych” sekwencjach filmu nawet w tej samej sztuce Casony co niedysyjsza ulubienica polskiej teatralnej i kinowej publiczności, szanowana i podziwiana „pani Miecica”...

W końcu zgadzam się przecież z Kondratiukiem. Nie tyle chodzi w jego filmie o takie czy inne podobieństwo, „obnażanie prawdy”, „rozliczanie” albo „stawianie pod przęgierem opinii publicznej” jakiegoś konkretnego przypadku, ile o sprawę znacznie głębszą, z gatunku uniwersalnych: o problem manipulowania (kiedyś mówiło się prościej: wykorzystywania) określonymi jednostkami przez inne jednostki lub grupy ludzkie, dla osiągnięcia zamierzonych celów lub korzyści. W tym wypadku mamy do czynienia z człowiekiem starym, zniedołężniałym i pozbawionym — ze względu na podeszły wiek — umiejętności realnej oceny sytuacji, w jakiej się znajduje, ale posiadającym jeszcze „sławę” i panicznie czepiającym się sceny. Bo teatr kojarzy mu się nie tylko ze splendorami, do których się przyzwyczaił, nie tylko z „posłannictwem”, ale przede wszystkim — z życiem. Wiekowa aktorka Gertruda trzyma się teatru, bo to oznacza dla niej przedłużenie życia; gromada aktorów — chałturników, dowodzona przez impresariów-cwaniaków, trzyma się kurczowo Gertrudy — traktowanej jak rodzaj mebla, bez którego nie można się obejść — bo jej dogasająca legenda pozwala im na wygodne przeżycie. I dlatego film Janusza Kondratiuka, mimo iż skrzy się od za-

bawnych gagów i pełnych „humoru i satyry” scenek, jest w sumie dziełem ponurym i wstrząsającym. Cynizm, głupota, prymitywizm i moralna oraz artystyczna degrengolada jego bohaterów spędzających życie w wieloletnim „objeździe”, z tą samą, wyeksploatowaną do granic możliwości sztuką, koczujących po prowincjonalnych hotelach i „dogorywających” po spektaklu w knajpach zwanych szumnie lokalami gastronomicznymi z nocną produkcją artystyczną — podkreślają jeszcze bardziej i tak już wstrząsającą w założeniu wymowę „Klakiera”. Lecz nie jest „Klakier” filmem pesymistycznym Gertruda, w ostatnim porywie energii, w zesłanym jej przez Opatrzność przeblysku świadomości, potrafi — kończąc życie — uratować swą godność człowieka i godność artysty.

„Klakier” mógłby przy tym wszystkim być filmem, co najmniej, znaczącym w krajobrazie współczesnego polskiego kina. Ale nie jest. Kondratiuk zebrał wprawdzie doskonały zespół aktorski: znakomite kreacje Zuzanny Łozińskiej jako Gertrudy, Włodzimierza Boruńskiego występującego w roli staroaktora Gustawka, wyróżniające się aktorstwo Joanny Szczepkowskiej i Michała Bajora, przekomiczna w epizodycznej roli „pani Miodek” — Iga Cembrzyńska i zwracający uwagę Zbigniew Buczkowski jako kelner w nocnym lokalu, a Tomasz Lengren jako estradowy wokalista. Jest także poza tym Kondratiuk doskonałym obserwatorem i potrafi „robić atmosferę”, wchodząc bezbłędnie z kamerą w środowisko klezmerów, striptiserek, chałturników i najróżnorodniejszych maści dziennych i nocnych cwaniaków. Niestety, podobnie jak u Gruzy, film rozpada mu się na szereg „kabaretowych” numerów, które, doskonale same w sobie, nie potrafią złożyć się na artystycznie spójną, o znaczącym ciężarze gatunkowym, całość. Film męczy zdarżającymi się często dłużyznami, ogrywaniami zbyt już nieraz wyświechtanych gagów, a rozegranie pomysłu o sposobie zainteresowania publiczności występem starej aktorki, jest nieprzekonywające i wręcz naiwne. Niestety, „Klakier” nie ma szansy dołączenia do zbliżonych tematycznie filmów tej miary, co „Wodzirej” Feliksa Falka i „Aktorzy prowincjonalni” Agnieszki Holland.

Na koniec kilka słów o odtwórczyni roli Gertrudy — Zuzannie Łozińskiej. Ta doskonała aktorka, zbliżająca się do dziewięćdziesiątki, kiedy zagrała swą pierwszą i ostatnią w życiu wielką rolę filmową, większość życia związała z teatrami Lwowa, Stanisławowa i Jeleniej Góry. Stworzyła wiele znaczących kreacji scenicznych, zajmowała się także reżyserią. Przed wojną była dyrektorem stanisławowskiego Teatru Ziemi Podlasko-Pokuckiej, a po wyzwoleniu, przez piętnaście lat kierowała teatrem jeleniogórskim. Zmarła nagle w sierpniu ubiegłego roku, podczas odbywania kuracji w Nałęczowie, w niedługi czas po kolaudacji filmu „Klakier”.
M. D.

Krzyżówka nr 25

1	2		3	4		5	6
		7	8			9	
10	11					12	13
			14	15		16	17
18				19	20		21
	22						
23		24		25	26	27	28
			29			30	
31	32						33
		36					
37					38		

Poziomo: 1. forteł, 4. Stefan Zeromski, 7. patron Lubelskiego Zagłębia Węgiowego, 10. przełożony klasztoru, 12. miejsce ostatniej klęski Hannibala w wojnie z Rzymianami, 14. krójący chwast, 16. czarny napój, 18. świadectwo jakości, 19. szwedzko-polski radiodbiornik, 21. święska trawa, 22. pisarka polska twórczyni „Dziewcząt z Nowolipki”, 23. uzupełnienie załącznik, 25. część sztuki teatralnej, 27. aparat administracyjny biskupa, 29. stan w old-wsch. Indiach, 30. pisarz angielski, autor „Jeźdźca bez głowy”, 31. biblijny bratobójca, 33. willa Szymanowskiego w Zakopanem, 35. siega do 50 km nad poziom ziemi, 37. ciągnik, 38. obrońca sądowy

Pionowo: 1. forteł, 4. Stefan Zeromski, 7. patron Lubelskiego Zagłębia Węgiowego, 10. przełożony klasztoru, 12. miejsce ostatniej klęski Hannibala w wojnie z Rzymianami, 14. krójący chwast, 16. czarny napój, 18. świadectwo jakości, 19. szwedzko-polski radiodbiornik, 21. święska trawa, 22. pisarka polska twórczyni „Dziewcząt z Nowolipki”, 23. uzupełnienie załącznik, 25. część sztuki teatralnej, 27. aparat administracyjny biskupa, 29. stan w old-wsch. Indiach, 30. pisarz angielski, autor „Jeźdźca bez głowy”, 31. biblijny bratobójca, 33. willa Szymanowskiego w Zakopanem, 35. siega do 50 km nad poziom ziemi, 37. ciągnik, 38. obrońca sądowy

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-030 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy za 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 25

Poziomo: Ważyk, skarb, erozja, salami, koniki, idehyd, Wara, felieton, kaliber, iron, kustosz, pałacyk, kagu, Swidnik, szoferka, Loza, interna, browar, Dobrze, turkus, Koran, Kreta.
Pionowo: Mekka, Koźniowski, Wastlewski, żelwo, kundel, ruch, diaskop, Auderska, animusz, analfabeta, Buczkowski, ukońcica, zakłady, Neruda, Zabrze, Prusy, trio.

Nagrodę wylosował: Edward Gasiór, 33-104 Tarnów, ul. Skowronków 7/8.

ARCHIWUM MISTRZÓW ANEGDOTY

Wiktor Hugo wygłaszał 17 lipca 1851 r. mowę w Zgromadzeniu Narodowym, którą ktoś z publiczności nieustannie przerywał głośniejszymi okrzykami. Mówca w pewnej chwili zwrócił się do oponenta zapytaniem:

- Jak się pan nazywa?
- Bourbousson.
- To więcej niż się spodziewałem.

Do leżącego na łożu śmierci pisarza francuskiego Colardeau przyszedł jego przyjaciel, Barthe, i zaczął mu czytać swoją nową sztukę pt. „Egoista”. Colardeau wysłuchał utworu do końca, złożył autorowi gratulacje i dodał:

— Komedia jest wprawdzie wyborna, ale postaci egoisty brakuje jednego rysu charakterystycznego: rysu pisarza, który umierającemu człowiekowi czyta na łożu śmierci pięcioaktową komedię.

Słynna Rachel napisała kiedyś do Dumasa list następującej treści: „Drogi przyjacielu. Niech Pan przyjdzie do mnie jutro na śniadanie. Nie będzie się Pan wprawdzie bawił, bo nie jestem interesująca. Ale ponieważ posiadam doskonałą pamięć, będę interesująca nazajutrz...”

Montesquieu toczył kiedyś zawzięty spór z pewnym radcą. W końcu radca odezwał się w te słowa:

- Jeżeli tak jest, jak to prezydentowi przedstawilem, daję swoją głowę!
- Dobrze, przyjmuję — odpowiedział Montesquieu — drobne podarunki podtrzymują przyjaźń między ludźmi.

Wyszperal: Ryszard Dunin

Pocztą literacką

Piotr P. Lublin. Pozazdrościł Pan Grzegorzowi Pernachowi jego poematu o „Camemnie”. Tak, przełożył Pan tamten pomysł na własny język i widzenie, więc o plagiacie mowy być nie może. „Camena w historii Koziołka”, chociaż świadczy o niepełnej znajomości historii naszego czasopisma, choć posiada liczne niezręczności treściowe i warstwowe ujawnia Pańskie własne możliwości. Na nich może Pan jedynie budować jakiegoś nadzieje w dalszym pisaniu. Proszę utrzymywać kontakt z tą rubryką „Kamieny”.

Marian Stanisław D. Lublin. Może wpięć o pseudonimie i imionach. Wyberało się dawniej, z braku odwagi ujawnienia się w anonimowym lub szyderczo nastawionym środowisku, nazwiska zastępcze. Niektórzy szukali z tych przyczyn — szczególnie ci z warstw posiadających i współzadających — pseudonimowego pułkera, bo nie uchodziło im wtedy wchodzić w klany artystyczne. Wypadało ledwie patronować lub korzystać z usług owych klanów ku własnej uciechce... Pan, Pani Marianne Sta-

nistawie, z niezłym podobnym się teraz nie styka, a nie znam ani jednego poety w Polsce i na świecie, który nosiłby Pańskie nazwisko. Jeśli jednak ono rzeczywiście Pana nie zadowala, to czy należy wybierać pseudo aż tak bardzo znane? Czy loty Pańskiej poezji będą równe jego dokonaniom? To nie, że ktoś w rodzinie itd... itp. Jest kilkanaście co najmniej nazwisk z naszej historii literatury i nauki, których nie wolno — chroni je także prawo — nadużywać. Spostrzegam, że im słabszy poeta tym, większa u niego dbałość o zewnętrzne oznakowanie. Przede wszystkim stara się wyróżnić dwójgim imionem, a i trzecim ma w zanadrzu. Gdzieś to zobaczył, on musi koniecznie to niedobre, naśladować. Powinno się drugie imię lub zmienione nazwisko stosować jedynie w przypadku, gdy ktoś inny drukuje już pod dokładnie takim samym imieniem i nazwiskiem. Piszę o tej sprawie nieco szerzej, gdyż zaczyna to być plaga „Pocztą literackiej”, a nie ma tu praktyka żadnego zwyczku uzasadnienia.

Kilka spośród nadesłanych przez Pana wierszy („Obłąkanie”, „Miejsce”, „Taniec”, „Nad Kazimierzem mroźna noc”, „Peda nade mną ptaki światła”) oraz „Tak wysoko” zwróciło moją uwagę, jest Pan zapewne na dobrej drodze. Po co więc Panu takie osłony?

Józef H. (bez adresu), Dariusz F. Bydgoszcz i Barbara M. Lublin. Na podstawie tych kilku wierszy trudno rozpoznać się w Waszych możliwościach autorskich.

TJ

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bociaś, Mirosław Derecki, Irena Jasińska (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pajak, Waldemar Piasecki, Waldemar Stepień (fotoreporter) Redaktor techniczny — Ewa Dybek korektor — Barbara Caban.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty w sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w płatki w godz. 14-18.
Wydawca: Główny Instytut Wydawniczy RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 1, tel. 233-30.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.
Adres redakcji: 20-033 Lublin ul. Skłodowskiej 1/1.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 233-83, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 233-55.
Korespondencje prosimy kierować pod adresem 20-036 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

BRUCE LEE: prawda i legenda

9

Koszmary Lindy Lee

Michał Rey

Betty Ting, nieobecnej na uroczystościach żałobnych, będzie musiała wystąpić ostatnią wizytą Bruce'a w jej sypialni i pamięć po owej wizycie.

Tego typu informacje i dezinformacje miały służyć podtrzymywaniu zainteresowania sprawą śmierci bożyszczka tłumów przez czas jak najdłuższy. Oczywiście z korzyścią dla wydawców pism. Linda starała się zapobiegać oświeceniu, jak umiała. Nim jeszcze podano oficjalny komunikat lekarski o śmierci Bruce'a, wzięła udział w konferencji prasowej, na której wręcz zaklinała dziennikarzy, by nie wierzyli plotkom i nie rozozwyszczniali ich w swoich gazetach. Mówiła, z trudem opanowując się przed wybuchem płaczu: *Przyczyny nie są jeszcze ustalone, ale jestem głęboko przekonana, że umarł własną śmiercią. Również wytwórnia Golden Harvest w oficjalnym oświadczeniu dla prasy apelowała, aby zostawić pamięć „człowieka, który tyle zrobił dla narodu chińskiego i dla sztuki całego świata” w spokoju oraz nie dostarczać dodatkowych powodów do smutku i rozpacz jego rodzinie. Zdało się to na nic...*

Obok pomówień o narkomanie i permanentne faszeringowanie się LSD, heroiną oraz specyfikami podnoszącymi wydolność seksualną, pojawiły się także inne „rewelacje”. Gazeta „Star” oskarżyła Bruce'a o wymigiwanie się od płacenia podatków oraz starała się udowodnić, iż w momencie śmierci był bankrutem i nawet „Rolls Royce”, którym jeździł, nie był jego. W tej sprawie głos zabrał Raymond Chow twierdząc, że Mały Smok mógł kupić sobie kilka „Rollsów”, luksusowy dom i wiele innych rzeczy oraz że jego żona i dzieci mogą być spokojne o swoją egzystencję do końca życia.

Kolejnym koszmarem Lindy były zabiegi o uzyskanie odszkodowania od towarzystwa ubezpieczeniowego, w którym Bruce ubezpieczył się w styczniu 1973 roku na pół miliona dolarów. Wypełniając kwestionariusz, na pytanie czy zazywa narkotyki, odpowiedział: „nie”, podobnie, jak i na pytanie, czy cierpi na nieuleczalne choroby oraz czy usiłował popełnić samobójstwo. Kiedy okazało się, że w chwili śmierci miał w organizmie narkotyki, towarzystwo odmówiło wypłacenia odszkodowania, argumentując to wprowadzeniem w błąd przez Bruce'a. Sytuację pogarszał dodatkowo fakt, iż Linda w wypowiedzi publicznej dla radia powiedziała, że jej mąż brał od czasu do czasu małe dawki konopi indyjskich „dla poprawienia nastroju”. Oczywiście miało to w pewien sposób „usprawiedliwić” ustalenia sekcji zwłok, ale potem obróciło się przeciwko Lindzie.

W miarę upływu czasu zaczęły funkcjonować także inne wersje i spekulacje na temat śmierci Małego Smoka. Jedną z nich, znana także u nas, utrzymuje, że Bruce Lee nie umarł śmiercią naturalną, a został usunięty przez fundamentalistów Kung-fu, oburzonych „nowinkami” Jeet Kune Do i działalnością ambitnego, młodego Chińczyka.

Nie da się ukryć, że starzy mistrzowie mogli mieć zastrzeżenia odnośnie postawy Małego Smoka, zarówno w kwestii transformacji stylu (znaczące uproszczenie formalne i zorientowanie na realną użyteczność), orderwania stylu od zapieczętowania filozoficznego, a nade wszystko eksportu chińskich sztuk walki na Zachód. Czy wynika z tego jednak, że postanowili się zemścić? Oczywiście — nie! Nie ma na to żadnych dowodów. Legendą pozostanie zatem opowieść, że Bruce miał otrzymać cios zadany tzw. wibrującą dłonią, którego efektem było zasłabnięcie w maju i śmierć w lipcu 1973 roku. Dla zwolenników tej wersji, rozwijając niejako agenturalny wariant śmierci, dopowiemy, że Mały Smok miał w lutym 1973 roku odbyć walkę pokazową z nieznanym osobnikiem w wieku około 45 lat. Ów mężczyzna miał być zwolennikiem JKD przybyłym z Tajwanu, chcącym poznać twórcę tego stylu i odebrać odeń praktyczną lekcję walki. Bruce przystał ponoć na pokaz i sparring, w którym pokonał przybysza. W czasie tej walki miał jednak otrzymać ów słynny śmiercionośny cios wibrującej dłoni. Zeby pozostać do końca w klimacie tajemniczości dodajmy, że przybysz po walce podziękował Smokowi i oddał się. Naturalnie nikt go nigdy więcej nie widział.

Innym przykładem szkoły agenturalnej jest wreszcie, że Bruce został wykończony, ale nie przez klasyków Kung-fu, a przez bossów przemysłu filmowego Pachnącej Wyspy, którzy poczuli się nabici w butelkę, kiedy Mr. Lee zaprzagnął się usamodzielniać i wraz z Raymondem Chow chciał zakładać wytwórnię Concord i podpisać superkontrakt w Hollywood. Tu następują dwie wersje spowodowania śmierci. Pierwsza powiada o uderzeniu wibrującej dłoni. Druga — o truciznie nie pozostawiającej śladów w organizmie, którą miano mu zadać. Mówi się, że miała w tym uczestniczyć Betty Ting, która zamiast środka przeciwbólowego poczęstowała kochankę ową tajemną trucizną.

Pisanie o tych wersjach ma sens taki, że dość dokładnie pokazuje się zjawiska pn. Bruce Lee. Zjawiska tak niezwykle, że w jego prozaiczny materiałny koniec uwierzyć trudno, bez budowania mitologii. Jest także i taki sens, że owe bajki były kolejnymi koszmarami, jakie przychodziło przeżywać Lindzie Lee i jej dzieciom, a z którymi od początku i z wielką konsekwencją starała się walczyć.

Wydaje się, że w tej walce była bardziej przekonująca niż „producentki” bzdur i rzekomych sensacji, kiedy mówiła dla Radia Hongkong:

[...] Dużo o nim mówiono. Nie zawsze prawdę, ale nie mam o to pretensji, bo czystej prawdy nie ma. Jest natomiast moim obowiązkiem przekazywanie mojej prawdy o nim i myśle, że do tego mam prawo większe niż ktokolwiek inny. [...] Nie był idealnym, ale był dobrym człowiekiem i w innym towarzystwie nie mogłabym żyć. Nie myślał nigdy o śmierci. Życie się to nim codziennie odnawiało. [...] Był dumny, iż jest Chińczykiem i stawiał sobie zadanie popierania i propagowania filozofii chińskiej i chińskiej sztuki walki. Studiował filozofię i z czasem stworzył własną. Zasadniczą wagę przykładal do poznania samego siebie, zaś każdy człowiek jako indywidualność był dla niego sprawą najważniejszą. Dlatego utrzymywał kontakty ze wszystkimi bez względu na bogactwo, pozycję społeczną czy pochodzenie. Uważał, że wszyscy są równi i dlatego powinni żyć w jedności i w jedności poprawiać świat. [...]

Linda wybrała swoją własną drogę obrony pamięci Bruce'a. Nie polemizowała z legendą tworzoną wokół męża, traktując ją jako nieobecną (choć pewnie bolesną), a przedstawiała własną wersję obrazu jego osoby. Czy w pełni obiektywną? Na pewno — nie. Z pewnością jednak robiła to w sposób bardziej godny i wiarygodny.

Znów otrzymaliśmy sporo listów. Dominuje zadowolenie z powrotu, po dwunumerowej przerwie, samego bohatera — Bruce'a Lee. Odcinek dotyczący bezpośrednio śmierci idola („Zejście Smoka”) wywołał pewnie kontrowersje. Bernadetta Rymanowska (Tarnów) uważa, iż użycie w tytule odcinka słowa: „zejście” jest nieśmaczne, ze względu na jego określone (medyczne) znaczenie. Uznała też, że powinniśmy opuścić zastaną milczenie na związek Bruce'a z Betty Ting, a nie „usensacyjnić” nasz serial. Cóż odpowiedzieć? Chyba tylko tyle, że cenimy własne zdanie naszej młodej Czytelniczki. Zupełnie prywatnie już dziwi trochę, Bernadetto pruderyjność stylu, jaki prezentujesz nam w liście. Odnosi się wrażenie, że pisany był ręką... Twojej babci. Zupełnie inaczej Agnieszka A. maturzystka z Lublina. Cytujemy: „[...] Nareszcie trochę ciała i seksu. Z czytanych przeze mnie niemieckojęzycznych książkach o Małym Smoku wynikało, że był on także wielkim Don Juanem, biegłym w sprawach miłosnych, równie perfekcyjnie, jak w walce [...]. Nie jest tajemnicą, że zazywał afrodyzjaki, podnoszące jego kondycję seksualną [...]. Istotnie częścią legendy Bruce'a Lee są „opinie” o jego licznych romansach i kochankach. Powstawały one jednak głównie po jego śmierci. Wielokrotnie w celu dyskutowania jego sławy. Nie brakowało dziewcząt w różnym wieku i różnych profesjach, które twierdziły, że Mały Smok związany był z nimi więzami niekoniecznie tylko koleżeńskimi. Zjawisko to występuje na obrzeżach każdej autentycznej sławy i nie ma potrzeby go dokładnie analizować. Zwłaszcza, że możliwość weryfikacji wersji miłosnych „narzeczonych” Smoka jest żadna. Adam Krzywoń i Janusz Derkacz (Olsztyn) opisali nam uroczystości zorganizowane przez nich samych z okazji 10 rocznicy śmierci Bruce'a Lee. Utrzymują, że uczestniczyło w nich 37 osób, wielbicieli Małego Smoka. I na koniec list od Rafała K. (nazwisko i adres znane nam). Twierdzi on, że komplet ośmiu numerów „Kamery” z odcinkami serialu kosztuje na czarnym rynku 500—600 złotych. Bez kolekcjerii przyznajemy, że tego nie podejrzewaliśmy. W ogóle zainteresowanie idolem przerasta nasze oczekiwania. Korzystając z podpowiedzi Rafała, rozważamy możliwość skierowania do ponownej sprzedaży wszystkich posiadanych leżących przez „Ruch” numerów „Kamery” z Bruce'em Lee, a nie tylko tych z okresu wakacji; po co przepłacać u ewanikiów.

Informujemy także, że trwa nasz konkurs na wypowiedź pt. „Dlaczego Bruce Lee?” Oprócz druku najciekawszych prac przyznamy nagrody pieniężne.

JAK już wiemy, po śmierci 33-letniego Bruce'a Lee zarządzo badania histopatologiczne jego narządów wewnętrznych. Dla wykluczenia możliwości pomyłek, czy rozbieżności interpretacyjnych, analizy wykonywane były w Hongkongu i w Londynie.

Już badania w Queen Elisabeth Hospital, gdzie zmarł, wykazały zawartość w treści żołądka konopi indyjskich i marihuany, ale w stężeniu zupełnie dla organizmu niegroźnym. Patolog szpitala wykluczył zatem ich wpływ bezpośredni na zejście śmiertelne. W ogóle stwierdził, że „przyczyn śmierci nie da się ustalić ze stu procentową pewnością”. Spowodował ją „szereg zbiegów okoliczności, a w nich nadwrażliwość na składniki przyjętych środków przeciwbólowych”. Efektem tych „zbiegów okoliczności” był ostry obrzęk mózgu na tle alergicznym.

Również w Londyńskiej Klinice Uniwersyteckiej specjaliści nie mieli pełnej jasności. Prof. William Teare wykluczył wpływ narkotyków na zgon i skłonił się do hipotezy patologicznej nadwrażliwości mózgu na składniki, podanego Bruce'owi przez Betty lekarstwa (najprawdopodobniej na meprobamat). Wypowiedział się także specjalista psychiatrii o długoletnim doświadczeniu w terapii uzależnień narkotycznych, dr Ira Frank. Stwierdził on, iż konopie indyjskie, które dominowały w „mieszance” (obok marihuany), nie mogły dać takiej reakcji mózgowej. Ostateczna konkluzja opinii fachowców londyńskich, zakomunikowana m.in. na konferencji prasowej, była następująca: „zbieg nieszczęśliwych okoliczności”.

Badania badaniami, opinie opiniami... W czasie, kiedy trwały eksperyty i dociekania, brukowa (choć nie tylko) prasa Hongkongu szalała w domysłach i podejrzeniach. „Mosquito Press” donosiła, że według wiarygodnych źródeł lekarskich Bruce zmarł na

skutek przedawkowania preparatu „707”, popularnego afrodyzjaku dającego analogiczne reakcje, jak słynna mucha hiszpańska (tyle że o znacznie większym natężeniu i dłuższym czasie działania). „Moskit” donosił, że „707” od co najmniej sześciu miesięcy wzbogacał godziny Smoka spędzane z Betty Ting i sprawiał, że idol mógł dokumentować swoją męskość kilkanaście razy w ciągu wieczoru.

Inna znów gazeta — „The South China Morning Post” — ubolewała, że



Taki pozostał w pamięci milionów wielbicieli(ek)...

Reprodukcja: Jacek Mirosław

(ciąg dalszy nastąpi)